



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÓCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ZONY UCZONYCH MEŻÓW.

Śmierć znakomitego angielskiego pisarza, Tomasa Carlyle, zwróciła uwagę ludzi na jego życie, wiele szczęśliwe i domowego ogniska, i ztąd jeden z wielkich organów prasy londyńskiej, *Times*, podniósł kwestyę: jakich przymiotów, jakiego wyjątkowego usposobienia potrzebuje kobieta, aby być dobrą żoną człowieka naukowego: pisarza, profesora, literata? Anglik, dumny wyższymi szkołami kobiet swoich, ich wzrastającym coraz pragnieniem wiedzy, kładzie szczególny nacisk na wykształcenie umysłowe, które, zbliżając żonę do męża, pozwala głębszym, poważniejszym myślicielom znaleźć trwałe szczęście w pożyciu z ukochaną kobietą. Nie można sprzeczać się z dowodzeniem, zawierającym tę prawdę niewątpliwą, że nauka, wiedza rozszerzona, uszlachetnia i usuwając wiele wad niskich, wielu wyższym przymiotom, cnotom nawet, początek daje; sądząc przecież, że w każdym związku małżeńskim, który musimy pojmować głównie przez związek serc, najważniejszą, zasadniczą rzeczą jest miłość i na niej dopiero gruntuje się wszystko inne. Kobieta, która kocha—która kocha prawdziwie, głęboko, potrafi uszczęśliwić w każdym położeniu, wśród wszelkich okoliczności będzie dobrą towarzyszką życia wybranego człowieka; dodałabym tu przecież zastrzeżenie, że niedość jeszcze, aby to, co pospolicie nazywamy miłością, istniało u kobiety w chwili wychodzenia za mąż. Bywa to czasem coś romantycznego, co też ograniczy się do przedślubnego romansu jedynie, a potem nie wytrzyma próby życia; bywa—wedle wyrażenia poety: „pokochanie się oczu“; jeżeli przecież „za tym zmysłem, co kochać przymusza“ nie przyjdzie miłość druga: nie pokochają się dusze, serce żony nie

znajdzie w sobie tego zapasu uczucia, któreby starczyło „aż do śmierci“—tego miłosnego przywiązania, tej czułości tkliwej, przez które i ona sama niewyczerpane nigdy szczęście bierze i niewyczerpane nigdy szczęście daje. Sztuka to jest i umiejętność z uczuciowości, z kochającej natury jedynie płynąca: samolubna nigdy tak kochać nie potrafi, i choć do ołtarza idąc, będzie czuć w sercu miłość niby, przedko ją straci w zbiegu tych różnych, napozór drobnych kolizyj życia, wśród których siebie samą głównie widzieć będzie i zadawałać zechce, swoje potrzeby, pragnienia, upodobania stawiając na planie pierwszym.

Im więcej też człowiek naukowy pochłanianym być musi przez swój zawód i prace z nim złączone; im więcej jego zamiłowania odrywają go od stron czynnych domowego i towarzyskiego życia, tem więcej potrzeba mu towarzyski kochającej i poświęconej: przyjaciółki przez zrozumienie jego wyjątkowych potrzeb i usposobień wyrozumiałej, i zarazem kochanki, zawsze ztąd najwyższej szczęśliwej, że „on jest jej, a ona jego...“ że przez prawo najświętsze należą do siebie nazawsze, i ona może nieodstępnie przy nim być, czuwać, w życie jego się mieszać jak pomoc i osłoda, wnosić w nie jakąś woń szczęścia, jakąś słodyczy kropelkę. Egoistka, chcąc od miłości coś wciąż dostawać, coś wciąż odbierać, a sama nic, lub mało co w zamian dawać; pyszna, pragnąca przedewszystkiem piedestału dla siebie samej; serce oschłe, nie zdolne czuć szczęścia w ofierze dla istoty ukochanej—wszystkie takie kobiety, którym w duszach grają cienie samolubstwa, mroczące światło miłości, niech się nie wążą krzyżować drogi tych myślicieli w sobie skupionych, tych pracowników na polach ideału, którym świat daje nazwę, czy uczonych, czy poetów lub sztukmistrzów. Nie im tu być: zimnym, niskim, w sobie zakochanym, bo miejsce to tylko dla tkliwej, dla dobrej, dla poświęconej.

To warunek pierwszy, ale niemniej potrzebną

tu jest i ta inteligencya rozświecona, która ważność nauki, ważność zawodów naukowych w społeczeństwie pojmując, w umyśle żon ludzi uczonych należne im uszanowanie budzi. Wtedy miłość jednostki podpira się wysoką miłością idei i miłością ogółu. Kobieta czuje, że ten jej ukochany, to zarazem człowiek, mający w narodzie swoim posłannictwo szerzenia światła, podnoszenia poziomu duchowego, i nie będzie to z jej strony ani pycha, ani śmiesznością, skoro pozna, że i ona może być w tem dziele wielkiem współpracownicą pożyteczną. Czem promień słońca w chmurny dzień zimowy, czem cień w upały, tem miłość dobrej i rozumnej kobiety może być dla męża spracowanego, czy wśród areny spraw publicznych, czy w zadumach głębokich nad myślą, która światło nieci, duchy uskrzydla i do wysokich ideałów drogi im wyznacza. Pogoda wewnętrzna, spokój cichy, błogostan moralny i fizyczny może im przyjsć od kobiety takiej, i za jej też sprawą siły ich się potęgują, praca łatwiejszą i płodniejszą się staje, i nie mylił się ten Francuz podnoszący ciche zasługi małżonki Thiersa, gdy napisał, że prawdziwą, wyższą ich wartość musi uznać każdy z tych „qui savent ce que peut dévoir d'inspiration une grande intelligence à l'amitié d'une femme“.

Jeżeli za stopień uszlachetnienia się kobiet jakiegos społeczeństwa można uważać ślad wpływu macierzyńskiego na wielkich narodu tego ludzi, na jego bohaterów i myślicieli, skalą doskonałej jeszcze to wymierzającą jest liczba szczęśliwych mężów między osobistościami takimi. „Światło życia mojego uszło“, napisał Carlyle po śmierci żony swojej i ma słusność prasa angielska jeżeli teraz, wpośród studiów nad znakomitym pisarzem postać tej kobiety na pełne światło czci narodowej wysuwa, nazwisko jej zapisuje na kartach moralnej historii Anglii i w blasku jego sławy czyni miejsce tej żonie dobrej. Szkotka, jak i Carlyle, z krwi wielkiego w swoim kraju człowieka,

reformatora Szkocyi, Jana Knoxa, przyniosła mężowi, obok oddanego mu w całości serca, pierwsze ciche uspokojenie życia, początek niezawisłości, pozwalający mu pracować wedle pragnień i natchnień jego talentu, folwark Craigenputtock, gdzie też małżonkowie zamieszkali, gdzie przebywali przez lat sześć i gdzie on w nowych życia warunkach mógł się oddać całkowicie pracy. Posiadłość Craigenputtock leży w okolicy górzystej i pospęnej, wśród ponurych wyżyn Dumfriesshire, odcięta od świata rozległym płatem moczarów i wtedy — w 1827 r. — trzeba było przebyć piętnaście mil drogi, wiodącej wskrós tych moczarów, aby się dostać do jakiegokolwiek miasteczka. Tam-to przecież był pierwszy dom młodej małżonki, w którym, jak Carlyle napisał potem w swej autobiografii: „była mu jedynym towarzyszem i przyjacielem“. „Towarzyszem i przyjacielem godnym niego“ — dodaje dziennik angielski i na zasadzie zeznań Carlyla tak kreśli dalej jej obraz: „Była to kobieta z charakterem, wielkiej praktycznej mądrości, umiejąca zawsze milczeć, gdy on mówił, a niemal, że nie niższa od niego w wymowie, co poświadczają wszyscy, którzy ją znali, a które jej sam daje od siebie świadectwo, że „posiadała jasną niezwykłą umysł (Bright invincibility of spirit). Na małym jego biurku w bibliotece, piętrzyły się góry całe francuzkich, niemieckich, amerykańskich, angielskich dzienników i innych czasopism, a on wśród tych stosów papieru pisał lub rozmyślał godzinami długie, aby potem wieść w przedmiotach najwyższego znaczenia rozmowy z żoną, gdy — zawsze oboje — błądzili pieszo lub konno wśród czarnych i milczących saporów, czarnych i milczących wzgórz, dzikich wyżyn ciągnących się bez końca a przerywanych nieprzeliczonym mnóstwem strumieni i wodocięczy, przysłonionych mgłą i bałwaniami się tumanami oparów wodnych, a przecież niepozabawionych surowej i razem delikatnej piękności, pokrewnej z jego duchem“.

Ona, razem słodka i poważna, była też na podobieństwo przyrody Dumfriesshire „congenial to his spirit“. Kochał ją miłością najwyższą, lecz jakąż też była i miłość tej kobiety, każąca jej naginać się życie całe do jego usposobień i upodobań wyjątkowych, małowarzystkich, zmuszająca ją, bezdzietną, do osamotnienia, odosobnienia od świata, bo po Craigenputtock przyszło Chelsea, najmniej ze wszystkich powabne, nizko nad Tamizą położone i bynajmniej już nie piękne przedmieście Londynu, gdzie Carlyle przeżył, w jednym i tym samym domu, blisko pół wieku, zwany pustelnikiem z Chelsea, chory wiecznie na wątrobę i trawić niemogący, ztąd nerwowy, często rozdrażniony, cierpiący ogromnie na bóle głowy i zwiędnięty to jedynie niespożyta żywotnością, a może najwięcej, cudowną siłą działalności mózgowej. To, co miss Martineau w pamiętnikach swoich napisała o pierwszej u niego wizycie, stanowi ciekawy obraz domowego życia Carlyle'a i jego żony: jak cierpki, krzywiący w sposób dziwny twarz krótką, nieregularnych rysów, rzucał pytanie za pytaniem, niezdolny jednak w żywości swej, chorobliwie cierpieniem jakimś podnieconej, czekać odpowiedzi i nagle po wypiciu podanej mu herbaty, uspokojony, miły, ożywiony tak przyjemnie, że wspomnienie przebytych z nim godzin kilku nieprędko mogło jej wyjść z pamięci.

A przecież było to zaraz po jego zamieszkanu w Chelsea, w 1834 roku, był zatem w samym kwiecie męskiego wieku: cóż więc musiało być z postępem lat, choroby i cierpienie, na które nigdy porządnie i wytrwale się nie leczył, za żywy, za niespokojny, za gwałtowny na to — za nadto oddany pracy nad piórem, nad stosami ksiąg, foliałów starych i razem wszystkich dzieł nowożytnych z całej niemal europejskiej literatury? Gdy więc weźmie się rzecz z jej strony nie idealnej, ale życiowej, gdy wielki pisarz przedstawi się u domowego ogniska ze swem namiętnem usposobieniem, gorącym temperamentem, ze swą cierpkością — skoro nerwowego co drażniło; ze swą gniewliwą pogardą dla wszystkiego, co ukazywało mu się małym, niskim, pospolitem i co głównie odsuwało go od świata i jego rozrywek, z konieczności mieszanych, obciążonych konwenansami, formalnościami towarzyskimi: trzeba przyznać,

że tylko kobieta z charakterem i razem kobieta z sercem, tylko bardzo poświęcona dlatego, że bardzo kochająca, mogła uczynić tu życie tak miłym, słodkim i mimo jego dolegliwości i braków rozmaitych tak szczęśliwym, aby mąż zawołał potem u grobu żony, że uszło światło jego życia!

Musiała niezmiernie kochać — to pierwsze — ale musiała zarazem i rozumieć, w wyższych, szlachetnych jego przymiotach wysoko cenić tego człowieka, aby tak być mogła. Musiała w dodatku być zdolną do używania przez oświecony umysł tych podniosłych przyjemności, w których on się jedynie lubował, aby wytrwać w życiu, jakie on urządzał sobie, a zatem i jej, wiernemu „towarzyszowi i przyjacielowi swemu“. Bez tego kto wie, czyby podołała ciężarowi swych obowiązków, bo „lęk wciąż wyprężony pęka“ i Anglik budzący jej wspomnienie, ma z pewnego względu słusność, gdy wyższe wykształcenie kobiet swego narodu kładzie na tę szalę, która waży cnoty żon, zdolnych i chcących uczynić szczęśliwymi mężów uczonych, mężów myślicieli — ludzi podniesionych nad ogół zwyczajny i pospolity.

Za jedną — za żonę Byrona, której postać rzuca tu smutny i przykry cień oschłej i ciasnej w pojęciach bigotki, istoty twardego, zimnego, do ofiary miłosnej niezdolnego serca, stawa długi szereg innych. Tkliwej i razem dzielnej, wysoce obdarzonej żony nieszczęśliwego w swej excentryczności poety Shelley'a; ubóstwianej żony Milla; wspólniczką z mężem bardon poezji dzierżącej Karoliny Brownig, wreszcie małżonki znakomitego przyrodnika, zmarłego w jednym czasie, bo w tym samym tygodniu co Carlyle, Gould'a, która była już w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, współpracownicą i taką męża swego pomocą, bez której jego sława i zasługa — jego dzieła musiałyby długo, a może nazawsze pozostać, w ukryciu. Podróżnik, przyrodnik musi się stowarzyszyć w pracach swych z rysownikiem, co ze względu na koszt niezmiernie wydawnictwo pism jego obciąża, i Gould, człowiek niezamożny, w początkach swego pisarskiego zawodu nieznan, gdy nie mógł dla ich kosztowności znaleźć na dzieła swe wydawcy, sam je wydać postanowił, gromadząc na to co tylko posiadał i jeszcze uciekając się do kredytu; lecz w żonie znalazł pomocnika, ujmującego mu połowę wydatku — rysownika, którego ołówek, wedle jego wzorów, szkiców i wskazówek, wykonał wszystkie ryciny do kolorowanych pysznie chromolitografij. Jakże to zaś są te rysunki do dzieł ogromnych formatem, ile ich być musi; wykazuje cena książek. Najważniejsza między niemi: *Ptaki Australii*, kosztuje sto funtów; inne mało co mniej i cena najtańszej z tych ksiąg wspaniałych, jest 70 funtów. Przyniosły one w zamian sławę i majątek; jak przecież węzeł serc musiał się zacisnąć przez wdzięczność męża z jednej, przez uczucie szczęścia i radosnego zadowolenia żony z drugiej strony; co słodkich uciech, co rozkoszy niewypowiedzianych musiała przynosić taka już rzeczywistość współka życia, takie jego połączenie pod względem wszelakim! Śmierć i tu rozerwała zawczasie związek szczęśliwy, i tu żona odeszła męża pierwsza, lecz u obojgu mogli ludzi sławnych, naród uczył wraz z niemi pamięć szlachetnych towarzyszek ich życia.

Marya Ilnicka.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Zaczął od niewyraźnego belkotania, z którego Ludmiła to tylko mogła zrozumieć, iż ją za coś przepraszał, że śmiałość swą uniewinniał.

— Alem ja panu owszem bardzo wdzięczna, żeś się tu znalazł, — przemówiła, niemogąca się jeszcze uspokoić Ludmiła. Professor Apold bez mej wiedzy i pozwolenia wziął się mi towarzyszyć. Jestem tem oburzona.

— Ja właśnie, właśnie, tylko, że nie śmiałem — począł Sitko, ale panią oddawna chciałem przestrzedz. Człowiek genialny, artysta znakomity, tak! to pewna — ale miałem, okazuje się, powody nie lubić go. Pani mi daruje: tego jegomości strzedz się potrzeba; jest bardzo zły, bardzo niebezpieczny.

Ludmiła zarumieniła się.

— O! bądź pan spokojny — rzekła — wistocie oczarował mnie swoją nauką i poglądami — lecz instynkt ostrzegał, bym się miała na baczności.

— Wszyscy to już uważali, że on panią przesładuje swojemi attentycjami — rzekł Sitko, nabierając odwagi. — Mówią o tem, że pani bywasz w jego pracowni, że jesteś z nim na stopie poufałości, — a zbliżenie się do niego, na każdą kobietę cień rzuca.

Jestem nadto otwarty — dodał — nie umiem się półsłówkami wyrażać. Pani daruje. To jest bardzo zły człowiek. Już dosyć tego, jak żyje i jak się z żoną obchodzi.

Ludmiła porwała się z siedzenia, blada i drżąca.

— Jakto? — krzyknęła, ręce załamując, mimo wiedzy i woli — on żonaty?

— Ale oddawna i po raz drugi! i dzieci z żoną, którą najniepoczciwiej zaniedbuje, mrą głodem, a on — ja nie mogę pani opowiedzieć, jakie życie on prowadzi.

Ostępiała stała Ludmiła, nie mogąc przyjść do siebie.

Rzucała oczyma do koła obłąkanemi — wreszcie podała Sitce rękę — szepcząc:

— Dziękuję panu. Jeżeli ja będę zmuszoną zostać tu, na Boga, proszę, nie oddalaj się; nie ufam tej Semmel.

— Pani, Semmel to jego dawna kochanka, wszyscy wiedzą o tem — zawołał Sitko — kobieta płocha i tak zepsuta jak on.

Ludmiła usiadła, czując, że się na nogach utrzymać nie może; spuściła głowę, parę łez spadło na papier, który pośpiesznie zwinęła. O rysowaniu mowy już nie było. Chciała powracać, ale Sitko zaprotestował; było już zapóźno do Drezna, a oprócz nocy i burza nadchodziła. Potrzeba się było schronić do gospody na Bastei i mimo chęci noc w niej przepędzić.

Deszcz zaczynał spadać wielkimi kroplami, wiatr na tych wyżynach dający się czuć mocniej, pochylał drzewa i niósł połamane gałęzie. Ludmiła miała się schronić do pobliskiego domu; gdy Florchen nadbiegła zaszępiła. Zobaczywszy Sitkę, skrzywiła się nań, zwróciła plecami i na ucho szepnęła Ludmile:

— Odprawiłam go, pomimo burzy i nocy odszedł pieszo do Wehlen. Niema go już.

Uspokoilo to w części Ludmiłę, która, nie mówiąc, weszła do gospody i prosiła o pokój osobny. Spiesznie bardzo uprzedziła ją, kellerowi niedając odpowiedzi, Semmel, zapowiadając, że musiała zamówić dwa obok siebie pokoiki, bo jednego na dwie osoby nie było. Mówiąc to, dała znak kellerowi, który je zaprowadził milezący do dwóch małych izdebek, niepołączonych z sobą. Sitko pozostał na dole...

Ludmiła, nieodzywając się do towarzyski, żona, zmęczona, poźegnawszy ją mileząco, rzuciła się na krzesło w swoim pokoiku i lży się jej, długo powstrzymywane, z oczów puściły.

Opatrzność czuwała nad nią.

Drżała, myśląc nad przewrotnością człowieka, do którego mogła się była przywiązać łatwo i paść jego ofiarą. Nie kryła tego przed sobą, że wielki urok miał dla niej, że serce jej biło mocniej, gdy go widziała, słuchała; lecz teraz pogarda zabiła uczucie, wzbudził w niej odrzecz.

Tak zamysłona i zapłakana, nie postrzegła Ludmiła, gdy burza, która się rozszalała na dobre, piorunami dokoła sypiąc po lesie otaczającym — szumiła, biła w okna — przeszła powoli i noc czarna zapadła po niej z deszczem nawalnym.

Kazała podać światło. Długo jeszcze chodziła po izdebce Ściborzanka, myśląc co ma począć z sobą po powrocie, gdy — a była już godzina bardzo późna — drzwi się uchyliły i powolnym krokiem wsunął się Apold.

Na widok jego, przerażona tem zuchwalstwem, Ludmiła oniemiała na chwilę — lecz wnet odżyła całą swą energią i dumę. Postać jej przybrała wyraz taki, że artysta, spojrzawszy, pozostał jak przykuty do progu.

— Posłuchaj mnie pani, dwa słowa tylko! — odezwał się — miłość tłómaczy wszystko.

— Mości panie — zawołała, głos podnosząc Ściborzanka — jeśli natychmiast nie wyjdiesz ztąd — zwołam ludzi, — dzwonię.

— Miłość — powtórzył Apold.

— Miłość powinienes pan zachować najpierw dla żony i dzieci — zawołała Ludmiła.

I wskazała mu drzwi z taką pogardą, że, oczy spuściwszy, już miał wychodzić, gdy, jakby zrozpaczony, zawrócił się i ręką począł we drzwiach szukać klucza.

W tej-że chwili z kurrytarza głos Sitki odezwał się, wołający kellnera. Apold pomieszany zawrócił się; gniewie i bełkocząc, iż o drzwi się omylił, wysunął się z pokoju.

Sitko, stał niedaleko na straży ze swoim kijem w rękę. Otwieranie drzwi, głos Sitki, zdaje się, że czuwającą jeszcze zaniepokoiły Semmel, która uchylila drzwi swoje i począła pytać: co się stało?

Sitko stojący blisko, odpowiedział jej zimno, że professor o drzwi się omylił. Semmel swoje z trzaskiem przykneła.

Nazajutrz Ludmiła, nie czekając na towarzyszkę, rano z przewodnikiem, za którym zdała szedł Sitko, wybrała się do miasta. Semmel spała jeszcze lub udawała, że odpoczywa. Ponieważ się na dni kilka wybrała z domu, przywitano ją tu z pewnem zdziwieniem. Wytłómaczyła się burzą i słotą, a poruszenie i zmęczenie zmusiły ją w łóżko się położyć. Sitko, który na statku jechał drugą klasą, zdaleka tylko czuwając, pożegnał, już się nie zbliżywszy.

To, o czem się dowiedziała Ludmiła, zmuszało ją nie tylko zerwać wszystkie stosunki z Apoldem, lecz obudziła się myśl: czyby nie lepiej było Dreźnie opuścić? W Düsseldorfie zaczęto właśnie wówczas głosić sławę starszego Achenbacha. Stolica saska stawała się dla niej wstretliwą — lecz rzucić się na nowe i nieznanne losy w miejscu najzupełniej obcem — siły jej brakło.

Wyjazd natychmiastowy był i dlatego niepodobniem, że Tarkowski opóźnił się z przysłaniem pieniędzy. Z małym bardzo zapasem podróż była niemożliwą.

Napisawszy list do niego, Ludmiła postanowiła zamknąć się w domu i pracować sama.

Miała częściowe studia, robione jeszcze w domu, mogła przedsięwziąć jaką robotę z tematów krajowych i spodziewała się zająć nią tak silnie, tak gorączkowo, ażeby o swem cierpieniu zapomnieć.

Ściągnęła więc, nie czekając, płótno, powydobywała szkice i narysowała jeden z tych malowniczych młynków naszych, u wysokiej grobelki, z mostem na powychylanych palach, otoczony garbatymi wierzbanami i olchami wyniosłemi, nad wodą trzciną i sitowiem zarosłą, jeden z tych młynków, który jej przypominał Brzegi.

Chwilę wybrała wieczorną: wszystko utopione w szarym mroku i półtonach; tylko na wierzchołkach drzew ostatni połysk zachodzącego słońca.

Krajobraz, szczęśliwie pojęty, był już zlekka podmalowany. Ludmiła prawie nim uradowana, w pracy swej postępowidziała, gdy... dnia jednego zobaczyła gospodynię, wchodzącą z niezwykłym trzaskiem i twarzą wywróconą do swojego mieszkania.

Zwykle dosyć grzeczna pani registrarowa Schulze, tym razem wkraczała w jakimś stanie ducha niezrozumiałym, rozjątrzoną, roznamiętnioną, bez żadnego względu na lokatorkę swoją.

Stanęła naprzeciw niej, mierząc ją oczyma groźnemi,

— Pani mi idź ztąd precz! precz! — krzyknęła namiętnie. — Ja takich kobiet, jak wy, w domu trzymać nie chcę, nie myślę. Artystka! O! my znamy wasze sztuki. Naprózno się waćpanna maskowała, naprózno.

Nie dosyć ci było samej prowadzić romanse: jeszcześ mi córkę łajdakowi temu dała na pastwę.

Ludmiła, której pendzle z ręki wypadły, krzyknęła rozpaczliwie i zaniemiała.

— Co to jest! waćpani oszalałaś? — odezwała się, porywając z siedzenia.

— Nie oszalałam, nie — ale się wydało wszystko — poczęła głos podnosząc Schulzowa: A kto zgubił Lischen moją? kto ją zaprowadził do tego zbójcy malarza?

Ludmiła przypomniała sobie dopiero, że jej do niego Lischen towarzyszyła.

— Jakto? — przerwała — Lischen.

— Niby nie wiesz, ty, coś była tak samo jego kochanką, ty, niegodziwa — wołała ze łzami matka. Niby nie wiesz, ty, coś ją nakłoniła, żeby z tobą razem się malowała, niby nie wiesz, że on ją potem zwabił do siebie dla tego obrazu i zgubił niewinną dziewczynę, która do niego uciekła.

Ludmiła rzuciła się przed nią na kolana i z szyi zdejmując krzyżyk, podniosła go do góry:

— Słuchaj — zawołała piorunującym głosem: — Oto wizerunek Boga-Chrystusa, na ten krzyż ci przysięgam: jam niewinna!

Schulze odskoczyła tylko z pogardą.

— Co wam kuglarzom, którzy w nic nie wierzycie, znaczą przysięgi! Dla was niema ani Boga, ani prawa, złoczyńcy! Precz z mojego domu! precz! precz!

I słuchać już niechcąc, Schulzowa, drzwiami trzasnąwszy, wyszła i zostawiła Ludmiłę samą, we łzach i rozpacz.

Nie było co rozmyślać długo: musiała wynieść się z tego domu, wyjść i więcej niepowracać. Ale gdzie, dokąd się udać?

Tarkowski nie nadsyłał pieniędzy; Schulzowej pozostawała winną za parę miesięcy, nie miała ani jej czem zapłacić za mieszkanie, ani drugiego wynajęć, choćby skromnego przytulku. Nie było wątpliwości, że rozgniewana stara rzeczy jej z sobą zabrać nie dozwoli.

Naprawdę, narzuciwszy chustkę na szyję, wzięwszy resztkę jakichś pamiątkowych klejnotów (jak się jej zdawało), niewielkiej wartości, z szuflady Ludmiła zostawiając co było w pomieszkaniu, na łaskę Bożą, uciekła z niego raczej niż wyszła.

W przedpokoju słyhać było wywoływanie i odgrazanie się Schulzowej. Jak obłąkana zbiegła ze wschodów Ściborzanka.

Położenie jej straszne stawało się okropniejszym jeszcze przez to, że ją potwarz dotykała, która oczu podnieść, pokazać się między ludźmi, nie dozwalała. Potwarz ta miała wszelki pozór prawdopodobieństwa.

Schulzowa, w żalu po córce, miała ją roznieść po mieście.

Co począć? gdzie się podziać?

Widywano ją z Apoldem, a zemsta jego i język niepocziwy Semmli, — mogły dopełnić czego brakło, by fałsz stał się uznaną prawdą dla wszystkich.

Lischen, tłómacząc siebie, winę rzuciła na nią.

Uciekać było potrzeba, ale o czem i dokąd?

Głowa jej pękała. Sparła się na chwilę o mur, ręką cisnąc serce i modląc się o siły, których potrzebowała. Wtem w kieszeni, do której wrzuciła swe drobiazgi najdroższe, natrafiła kartkę pomietą. Wyjęła ją, nie myśląc. Stał na niej dawniej kiedyś dany jej adres Sitki.

Był to jedyny człowiek, wprawdzie bezsilny i nieporadny, do którego z ufnością się udać mogła.

Lecz biedny chłopiec, który często zmieniał ubogie swe poddasza, mógł i teraz już znajdować się gdzieindziej.

Parę talarów miała jeszcze w woreczku; siadła do przejeżdżającej dorożki, pojechała. Sitkę spotkała, szczęściem, na drodze.

— Jechałam do pana — rzekła mu zmienionym

głosem: — Potrzebuję ratunku. Jestem najniebezpieczniejszą. Słuchaj i ulituj się, a jeśli możesz — radź mi.

Głosem przerywanym oburzeniem, opowiedziała mu naprędce przygodę swoją, potwarz, jaką na nią rzucono, wygnanie z domu, niedostatek chwilowy.

Sitko stał tak zrozpaczony, jak ona. W początku i on nie mógł się zebrać na jakieś słowo, rwał włosy i łamał ręce.

— Najpierwsza rzecz: potrzeba bądźco bądź szukać mieszkania — zawołał.

— Nie — przerwała Ludmiła — najpierwsza rzecz: wieź mnie pan do lombardu. Muszę zastawić zegarek, pierścionki, łańcuszek — nie mam pieniędzy. Siadaj pan.

Sitko z wielką nieśmiałością usiadł na przodzie dorożki, nie odważywszy się usiąść przy niej. W milczeniu dał adres lajhauzu, na co dorożkarz zrobił minę dziwną, zamruczał, konia zaciął i ruszył. W chwilę potem, po namyśle, zażądał, aby mu zgóry zapłacono. Upokorzenie to znieść było potrzeba. Ludmiła dobyte przedostatniego talarza; Sitko zapłacił.

W lombardzie, wśród tłumu ubogich, z których część większa przynosiła pierzyny i pościel, odzież i rzeczy małej wartości — straszną godzinę na kolej swą czekać było potrzeba. Potem Sitko musiał zastąpić osłabłą i bezprzytomną Ludmiłę. Szczęściem dla niej, drobiazgi były znaczniejszej wartości, niż sądziła; taxator uznał ich cenę i trzydzieści kilka talarów wręczono Sitce.

Mieszkanie więc już było tak jak zapewnione, lecz Ludmiła tak się czuła znużoną, iż sama go szukać nie mogła.

— Bierz pan pierwsze lepsze, — zawołała, — byłem miała ką, gdziebym się spokojnie wypłakać mogła.

Trzeba było brać dorożkę znowu, bo Ludmiła iść nie miała siły. Sitko rzucał oczyma po domach, na których karty wystawione były. Na Christianstrasse stanęli najpierwej.

Gospodyni, która wyszła, rozmówiwszy się z Sitką i chciała zobaczyć przyszlą lokatorkę swoją, była kobietą dobrze znaną Schulzowej i u niej widywała Ludmiłę. Historia Lischen i z nią połączona potwarz były jej wiadome. Zaledwie poznała Ściborzankę, rękami rzuciła i Sitce drzwi zamknęła przed nosem.

Zmieszany chłopak chciał skłamać, aby niedawać bólu nieszczęśliwej, ale Ludmiła zrozumiała co ją spotkało. Tym razem skutek doznanej obelgi był innym, niż się towarzysz spodziewał i lękał. Ludmiła dzwignęła się pod tą niezasłużoną chłostą — postanowiła walczyć.

Dorożka powlokła się dalej. Po kilkogodzinem poszukiwaniu dwie liche izdebki na Pirnej-skiej ulicy wyszukał Sitko, zapłacił je z góry, a z resztą pieniędzy pojechał, zostawiwszy tu Ludmiłę, aby jej ruchomości odzyskać.

Dług Schulzowej nie przynosił, szczęściem, summy, która pozostawała. Sitko, świadomy prawa, potrafił zagrozić za samowolne wyrzucenie z mieszkania, skłócił się z babami, uniósł i powiedział im prawdę, a po strasznej kłótni, wieczorem z diestmanami przenieść potrafił nawet obraz podmalowany bez uszkodzenia.

Sam już, niepokazując się Ludmile, gospodyni ją poleciwszy, unikając podziękowań, zniknął.

Dzień ten straszny odurzonej nim Ściborzance wydał się wiekiem męczarni niewysłowionej; sądziła, że mu nie podola siłami i chorobą go przypłaci. Sen dopiero przyszedł nad ranem, lecz był pokrępiający; wstała, czując się osłabioną tylko, lecz znacznie spokojniejszą.

W sumieniu nie miała sobie nic do wyrzucenia, potwarz już jej wiele nie obchodziła. Nie ona pierwsza była tak srodze nią dotkniętą i niesprawiedliwie potępioną. Uczucie religijne pomogło zwyciężyć wielkie cierpienie.

Gdy Sitko nazajutrz przybył z trwogą dowiedzieć się u gospodyni o lokatorkę, odpowiedziała mu, że nic jej nie jest i że się w mieszkaniu urządziła. Wszedł więc na chwilę, aby spytać: czy czego jeszcze nie potrzebuje? i znalazł ją wistocie zaprzętą rozstawianiem swych rekwizytów malarskich, bladą, ale spokojną.

Podala mu rękę.

— Bóg zapłać, — rzekła krótko. — Byłeś pan dla mnie prawdziwym opiekuńczym aniołem. Dziś z łaski twej mając dach nad głową, widzisz, zwyciężyłam ból, odzyskałam mężstwo. Nie zwątpiłam o Bogu i sprawiedliwości, aby nie płakać; siadam mój młynek malować.

Z uwielbieniem słuchał tego Sitko, któremu się lzy kręciły w oczach. Skłonił się niezgrabnie, coś zabelkotał, potknął się w progu i wyszedł rozrzewniony.

Ludmiła zamknęła się zupełnie w domu, za próg się nie ruszając z niego, malowała po całych dniach, czytała wieczorami, czekała posyłki od Tarkowskiego i uspokajając się myślała przenieść się do Düsseldorfu, niezrażona tem, co ją na drodze artystycznej spotkało.

Smutne doświadczenie nauczyło ją wiele.

Na kilka dni Sitko poczciwy zniknął zupełnie, niesmiąc już się pokazywać. Codziennie tylko rano, idąc do pracowni Rietschla, robił krąg znaczny, przychodził pocichu do gospodyni, dowiadywał się: czy panna nie chora?—i zakazując mówić o sobie, wysuwał się niepostrzeżony.

W mieście owa historia panny Brzeskiej, która nagle znikła, awantura Apolda ze złotowłosą Lischen, która mu za model służyła, były naturalnie najrozmaiciej komentowane. A że ludzie skłonni są wszystkim tłómaczyć z najgorszej strony, tworzonego dziwolągi. Skargi Schulzowej rozżalonej przyjmowano za dobrą monetę.

Sitko, ile razy potwarze te do jego uszów dochodziły, stawał gorąco, lecz napróżno, w obronie panny Brzeskiej. Wymśmiewano go tylko.

Tymczasem niespodziana okoliczność zupełnie inny zwrot nadała powieści fałszywej.

Piotr Paweł von Apold po niefortunnej wycieczce na Bastei, nie mógł gniewu swojego powściągnąć, a że na kogoś złać go musiał, winę wszystkiego zrzucił na Semmel. Od słowa do słowa posprzeczał się i połajali.

Semmel, raz doprowadzona do rozdrażnienia, nie zwykła była oszczędzać nikogo. Mając złość do Apolda, zaczęła na głos rozpowiadać przygodę, tak, jak ona istotnie była, biorąc w obronę siebie naprzód, potem Ludmiłę. A że historia Lischen, jako miejscowej, była jej dobrze znaną i tę rozgłosiła, nieszczędząc wcale Apolda, malując go jako niepoprawnego rozpustnika.

W tym samym czasie rodzina opuszczonej żony, przywiedziona do ostateczności, rozpoczęła nareszcie proces rozwodowy, który charakter artysty i wszystkie jego wybryki poddał pod sąd opinii publicznej.

Apold więc znalazł się pod przegierzem i gdyby nie prawna konieczność assistowania procesowi rozwodowemu chciał już porzucić Drezno, wynieść się gdzieś zagranicę.

Nawet najwięksi jego talentu zwolennicy i przyjaciele osobiści stawali teraz z konieczności przeciwko niemu. Oczów już nie śmiał pokazać w ulicę, zamknięty w pracowni, przy której Lischen mieszkała, malował z jakimś natchnieniem szatańskim, i tworzył, jak mówiono — arcydzieła.

Zwrot ten w opinii wyszedł na korzyść Ludmiły, nad której losem ubolewano. Jedni wszakże domyślali się jakichś stosunków, których nie było i użalali nad jej losem, drudzy — całkiem ją uniewinniali. Sitko, który się oile mógł przyczyniał do wyjaśnienia zagmatwanych i niedorzecznych plotek, miał w końcu tę pociechę, że Ludmiłę zapewnił, iż Apolda nie spotka nigdzie, a ludzie potępili go i odepchnęli.

Nie dało to jednak Ściborzance odwagi wyjścia z tej dobrowolnej klawury, na którą się skazała. Siedzenie w domu i zamknięcie, smutek, niepokój, który brak wiadomości od Tarkowskiego budził, zmieniły ją znacznie. Zżółkła, wychudła, pobraźla, czuła się jakby chorą, nieumiejąc powiedzieć co jej było. Sitko nalegał, aby wyszła na powietrze i spoczęła. Obiecywała mu to, ale wracała od progu.

Niedostatek, do którego się nie przyznawała przed nim, dawał się czuć dotkliwie. Musiała kazać przynosić sobie obiady z jednej z tych ku-

chni, w których się prości robotnicy za pięć lub cztery srebrniki stołują, kawą i chlebem głód potem zaspokajając.

Znosiła to w milczeniu, z rezygnacją. Poczta, do której się udawała napróżno, nic nie przynosiła.

(Dalszy ciąg nastąpi)

OBOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg).

Mężtwa, odwagi, jak wielu przymiotów, cnót wielu, można się nauczyć. Wyrabia je w naszym życiu odpowiednio prowadzone: walka z przeciwnościami hartuje siły i zaprawia człowieka do mężnego stawiania czoła niebezpieczeństwu. Pobyt na morzu jest jedną z takich szkół odwagi, jest nią również zawód wojskowy. Smiles ukazawszy najpierw czytelnikowi przykłady szlachetnego mężstwa duszy, wypływającego samodzielnie z gorących ukochań wielkich idei, spraw ludzkości świętych, przedstawia przykłady odwagi żeglarzy, oraz odwagi rycerskiej, poświęcając każdemu z tych zastosowań mężnego stania przy obowiązku rozdziły osobne. Anglik, zaczyna też od morza, o którym powiada, że jest piastunem ludzi dzielnych. Żeglarz mierzy się nieustannie z niebezpieczeństwem, a życie jego wymaga ciągłej czujności w pełnieniu obowiązku, silnej karności i posłuszeństwa, przytem musi być ono pracowitem a nigdy lekkomyślnem, skłania do uwagi, cierpliwości i wkłada na ludzi ciężkie brzemie odpowiedzialności za czyny i postępowanie swoje, co wszystko składa się razem na wytwarzające się mężstwo i odwagę. Nawet w pogodę i ciszę żeglarz musi czuwać, aby go nie zaskoczyła burza, baczyć pilnie z której strony wiatr wieje i być w każdej chwili gotowym do walki. Dlatego małe stosunkowo siły załóg okrętowych dokonywają niekiedy wielkich zwycięstw na lądzie, który chcą osiągnąć; dlatego walki morskie bywają zwykle prowadzone z bohaterkiem poświęceniem, z wielką wzniosłością i energią. Smiles przytacza długą historję zapasów Anglii z Hiszpanią o panowanie na morzu. Hiszpania, zdemoralizowana przez fałszywy rozwój narodowego życia, nie miała wytrwałości, dzielności angielskiej i dlatego ustąpić musiała. Między bohaterami walk, staczanych przytem przez dwa narody, Smiles stawia jako bohatera powodzenia sir Franciszka Drake; w sir Richardzie Grenville przedstawia mężstwo nieszczęśliwe. Za czasów królowej Elżbiety flota angielska spotkała się u wysp Azorskich z flotą hiszpańską; ta ostatnia liczyła 53 okrętów, angielskich było 6. Przewaga sił hiszpańskich była tak wielką, że angielskie okręty nie wstydziły się cofnąć. Po złożonej radzie wojennej, pięć odpiłynęło pod wodzą admirała Howard, ale okręt szósty, stary okręt, na którym niegdyś Drake walczył i zwyciężał, *Revenge*, pozostał. Dowodził nim lord Ryszard Grenville. Walka była tak zaciętą, jak musiała być śmiertelną. Hiszpanie wdzierali się na pokład angielski piętnaście razy, i piętnaście razy zostali odparci. Sir Ryszard był dwukrotnie raniony i siły ogólne wyczerpane. Wtedy dzielny wódz nakazał zatopienie statku, ale większość załogi była innego zdania i okręt się poddał, przeciw mniej jego dowódcą. Ten umierał już i dlatego tylko nie skoczył w morze, a testament jego był takim: „Ja, Ryszard Grenville, umieram z wesołym i spokojnym umysłem, ponieważ kończę życie tak, jak przystało na prawego żołnierza: walcząc doostatka za ojczyznę moją, królową, religią i honor. Dusza moja ujdzie chętnie z ciała, zostawiając poza sobą sławę czynów, obowiązujących każdego walecznego żołnierza“.

Revenge, jest jedynym okrętem angielskim, jaki

wśród wiekowych zapasów z Hiszpanią dostał się w jej moc. Walczono przeciw z różnym szczęściem, ale hasłem Anglii była śmierć, gdy nie mogło być zwycięstwa, i pokazało się, że nie było to próżne sił marnowanie, bo owo zwycięstwo przyszło nareszcie—przyszło dla tego uporu, dla tej wielkoduszności, dla tej ofiarności synów Anglii, gotowych zawsze stawieć przeciw nieszczęściom przegranej tryumf bohaterskiego zgonu.

Szlachetne tradycje, panujące w marynarce angielskiej, wyrabiają tak podniosłe charaktery; szkoły marynarki usiłują wychowywać młodzież na ludzi dzielnych, na ludzi wspaniałomyślnych, i lord Sandon przemawiając w Liwerpoolu do kadetów marynarki kupieckiej, nazwał to typowemi przymiotami angielskiego żeglarza: „aby był wierny, odważny, dobry sercem, wyrozumiały dla słabych, zawsze gotowy do spełnienia obowiązku względem Boga i ojczyzny“.

Żeglarz powinien być wierny statkowi swemu, a w godzinie niebezpieczeństwa kapitan ostatni dopiero porzucić go może. Wrazie burzy lub pożaru, prawo kodexu morskiego nakazuje mu, aby kobiety i dzieci były najpierw zabezpieczone, potem podróżni, wreszcie załoga, a on sam na końcu dopiero może myśleć o ocaleniu własnem. Zatem poświęcenie jest dla niego obowiązkiem, mężstwo koniecznością: musi być w każdej chwili gotowym do wyrzeczenia się życia, wtedy nawet, gdy ma dość sił potemu, aby je ratować. Siły te obowiązany jest oddać na posługę innym i nie wolno mu jest tracić zimnej krwi wobec najwyższego niebezpieczeństwa. W życiu, czy w śmierci powinnością jego jest spokój.

Kommandor Riou, dowodzący statkiem *Guardian*, dał szlachetnie piękny przykład wierności tym obowiązkom, których prawo od żeglarza wymaga. Okręt, którym dowodził, uderzył w czasie mgły o górę lodową i został tak uszkodzonym, że musiało nastąpić zatonięcie, gdyż stało się to w środku oceanu i nie można było dobić do żadnego lądu. Walczono przeciw do ostatka z niebezpieczeństwem: rzucono w morze wszystko, co się dało: broń, ładunek, część żywności, przytem wypompowywano wodę bezustannie i broniono się tak śmierci przez czterdzieści ośm godzin. Ale okręt brał wciąż wodę, której przystępu nie można było zatamować i gdy po nocy ostatnich wysiłków zaświtał ranek, dały się słyszeć między załogą głosy, wołające, aby spuszczone łódzie. Służący kommandora przyszedł wtedy zapytać go: na której łodzi ma umieścić coś z jego rzeczy, ale odpowiedź brzmiała:—Na żadnej... Jemu pozwalał ratować się z innymi, lecz on sam pozostawał, bo obowiązkiem jego było: ratować statek do ostatniej chwili.

Przez czas przygotowań, napisał list do admirałicy, w którym zdawał raport z wypadku i dawał świadectwo osadzie okrętowej, tak officerom jak majtkom, że pełnili uczciwie swe obowiązki, aż do granic możliwości. Potem pożegnał się ze wszystkimi przyjaźni i życzył im szczęśliwego uratowania życia, które dla niego miało się przedłużyć ledwo chwil kilka, gdyż sam jeden nie będzie już mógł walczyć z niebezpieczeństwem. Ale to poświęcenie się dla obowiązku przeniknęło wzruszeniem serca; prawie połowa załogi postanowiła pozostać, dzielić z nim śmierć lub życie, lecz jakiś anioł zbawiający przyszedł z pomocą tym szlachetnym; i kiedy większa część łodzi zniknęła gdzieś bez wieści wśród przestworów Oceanu, okręt z walecznymi robotnikami został uratowany. Ośm tygodni utrzymywano się rozpaczliwymi wysiłkami pracy i zręczności żeglarskiej, aż spotkano flotyllę holenderskich wielorybników, którzy zdołali odprowadzić statek szczęśliwie do portu. Kommandor Riou zginął potem śmiercią walecznego w czasie walki pod Kopenhagą.

Kapitan Knowles, dowodzący statkiem kupieckim, dał podobny dowód mężstwa, już za naszych czasów, i dzisiejszy pierwszy minister, Gladstone, nazwał go za nie bohaterem wyższym, niż Napoleon I, bo czyn jego bohaterstwa nie mógł mieć w sobie żadnej przymieszki żywiołów samolubnego uczucia. Powierzony mu, a z Londynu do Hobart Town wiozący emigrantów statek, *Northfleet*

stał na kotwicy pod Dungeness, gdy wśród nocy, ciemnej, okręt hiszpański *Murillo* uderzył o niego pomimo świateł sygnałowych, które jasno się paliły. Skutkiem tego było wybite tak wielkiej dziury w kadłubie okrętu, że natychmiast począł się zanurzać i tonął, przecież hiszpański parowiec nie zatrzymał się, a przeciwnie, uciekał co prędzej na pełne morze, nie troszcząc się o to, że zostawia po za sobą trzysta istot ludzkich, skazanych przez niego na śmierć w nurtach morskich, których ratować nie próbował nawet. Knowels wystawił sygnał nieszczęścia i nakazał ratowanie się przez wypompowanie wody, ale wielkie zamieszanie, wielka rozpacz i trwoga śmierci opanowały podróżnych, szczególnie kobiety i trzeba było copędzej przesadzać je na łodzie. Że okręt widocznie się zanurzał, popłoch nastąpił wielki i próżno załoga usiłowała załatwić się najpierw z kobietami i dziećmi. Mężczyźni tłoczyli się przebojem i wtedy Knowles stanął z rewolwerem w ręku, ostrzegając, że będzie strzelał do nieposłusznych jego rozkazom tchórzów, nawet raz strzelił rzeczywiście i postrzelił w nogi upartego, obłąkanego przez strach śmierci nieszczęśliwca, ale wrócił porządek i zdołano uratować osmdziesiąt sześć osób. Okręt, którego cały dolny pomost był już pełny wody, zanurzył się w głębinę i dzielnego dowódcę, nie wypłynął już na wierzch, trupem chyba.

Cieężko jest napisać resztę—tego, że pomiędzy uratowanymi znajdowała się świeżo zaślubiona jego małżonka. Nie miała odwagi umrzeć z nim razem, a raczej miłość życia dała jej straszliwą odwagę zniesienia tego, że umierał sam jeden, opuszczony przez nią! Oh! jakąż żalosną goryczą musiała być zaprawiona ostatnia chwila szlachetnego człowieka, lecz jakież miało być odtąd życie niewiernej kobiety? Czy mogła kiedy spokojnie złożyć głowę do snu, czy cień opuszczonego małżonka nie wychylał się do niej z każdej rozkoszy życia—z każdego świtu dnia; który pogodnie wschodził?

Smiles zapełnia karty całe przykładami wzniosłych czynów poświęcenia i pogardy śmierci w obowiązkach. W miesiącu Lutym roku zeszłego, na angielskim okręcie *The Invincible*, płynącym z Alexandryi do zatoki Aboukir, rozległ się nagle głos, że ktoś wpadł z pokładu w wodę. Wstrzymano natychmiast parę, spuszczone linę ratunkową, ale tonący nie umiał korzystać z pomocy i zanurzał się już; wtedy kapitan okrętu, Freemantle, syn arystokratycznej rodziny, skończył w wodę, nie rozebrawszy się, zdołał osiągnąć tonącego, pochwylił go nawet, ale suknie, buty szczególnie, ciążyły mu, odbierały swobodę członków i tylko wielkim wysiłkiem zdołał się utrzymać ze zdobyczą swoją na powierzchni fal, co przecież nie mogło trwać dłużej nad minut kilka. Gdy to ujrano, podporucznik Moor i kowal okrętowy Cuningham, copędzej się rozebrali i rzucili w wodę, aby dać mu pomoc, dopóki łódź, którą spuszczone, nie podpłynęła i nie przyjęła na deski swoje wszystkich czterech.

Wyższego względnie męstwa, wyższej odwagi i poświęcenia, potrzebował kapitan Moor, dowódca szkockiego statku, *Arabella Clark*, oraz podkomendny jego, cieśla okrętowy Jan Mac Intosh, ratując w miesiącu Listopadzie 1879 roku załogę francuskiej łodzi *Melania*. Obydwa statki stały w pobliżu siebie przy ujściu rzeki Adour pod Bayonną, gdy nagle od strony *Melania*, której ładunkiem były beczki z naftą, usłyszano straszliwy huk wybuchu, a potem zaraz ujrano ją samą w płomieniach, następnie zaś tak opasaną płomieniami tych kołem, jakgdyby tonie wodne zajęły się także i płonęły. Nafta-to, do której zapuszczono ogień, wylała się z rozsadzonych beczek strugami płomieni i paliła się na powierzchni fal, więżąc w straszliwy sposób osadę łodzi, która została zatem skazaną na pastwę okrutniejszego, niżeli woła żywiołu. Kilku śmielszych majtków rzuciło się w ogniste fale, aby je przebyć rozpacznie, ale reszta miała zginąć bez ratunku, gdy oto łódź, spuszczone ze szkockiego statku, płynie, kierując się śmiało w sam środek pożaru. Kapitan Moor i towarzyszy jego wiosłują szybko, ale ogień, który ich otacza, szuka pastwy, już zapalają się na nich

suknie, ręce strasznie są poparzone, przecież nie cofają się w tył i załoga *Melania* zostaje przez nich niemal w całości uratowana. A nie czynili tego z myślą o nagrodzie pieniężnej, bo nie ratowali bogaczy, nawet nie poszukując sławy, gdyż nie były to szranki tych wielkich zapasów, wśród których się ją zdobywa, i wiodła ich tylko czysta miłość bliźniego, czyste, wielkie uczucie ludzkości, które, niestety! ciężko opłacił jeden z tych szlachetnych. Ręce i jedno ramię Jana Mac Intosh uległy takiemu sparzeniu, a raczej spaleni niemal do kości, że stał się nagle niezdatnym do pracy i odwieziony do domu, do Androssan, żyje tam do tej pory z miłosierdzia ludzkiego. Wprawdzie królowa Wiktoria przysłała obu bohaterom medale miedziane pierwszej klasy, rząd francuzki dał im złote, naśladowało go Lloyd stowarzyszenie ratowania tonących, ale Smiles pisze ze smutkiem, że zaszczyty te nie dają chleba ustom głodnym.

Podróżny, zwiedzający Anglię, zobaczyć może w katedrze w Norwich zawieszony chorągwie i dowie się, że są to barwy 54 pułku piechoty, który, wedle wyrażenia Smilesa, odniósł na okręcie *Sara Sands* zwycięstwo niemniejsze od wywalzonego niegdyś na polach Waterloo. Wśród ciężkich zapasów między uczuciem obowiązku a wrodzoną każdej istocie ludzkiej trwogą przed śmiercią, nie uległ, nie zeszedł z posterunku i dokonał powinności. Okręt, należący do marynarki królewskiej i przewożący wojsko, zajął się ogniem pośrodku Atlantyki; gdy niebezpieczeństwo okazało się groźnym, zabezpieczono najpierw ster, potem umieszczono dzieci i kobiety na szalupie okrętowej, co wszystko odbywało się ze współdziałaniem wojska w najwyższym porządku i postanowiono walczyć z żywiołem niszczącym, nie schodząc ze stanowiska, nie ratując się rozsypką. Dwa dni i dwie nocy pasowano się z ogniem i zwyciężono go wreszcie, ale okręt był już tylko w pół zgliszczonym czerepem, gdy nagle fale się podniosły i bałwany mogły teraz zmieść z pokładu walczących, ale trwano przy swoim postanowieniu niezmiennie. Trzymano się z cudowną wytrzymałością w gromadzie zbitej i przetrzymano niebezpieczeństwo o tyle, że można było zwrócić okręt w kierunku najbliższego lądu. Ośm dni trwała żegluga w warunkach najtrudniejszych, aż wreszcie rozbitki osiągnęły Wyspy Maurycego, nie straciwszy ani jednego żołnierza.

Amerykański parowiec, kursujący po jeziorze Erie, uległ podobnie przypadkowi ognia. Na pokładzie znajdowało się sto osób; jedynym środkiem ratunku było szybkie przybicie do brzegu. Sternik, Jan Maynard, wiedzący o tem, poświęcił się za innych: nie ruszył się od koła, choć suknie już zapalały się na nim, choć włosy mu płonęły. Statek pędził i dobił do celu; sto żyć zostało uratowanych i tylko jeden bohater zginął! Sternik umarł z poparzenia.

Raz angielski okręt wojenny tak został ogarniony przez płomienie, że niepodobna go było ratować, a co okrutniej, łodzie okrętowe nie mogły pomieścić całej załogi i wojska, znajdującego się na płonącym statku. Dwieście osmdziesiąt ludzi musiało zginąć i ciągnięto losy: kto ma zostać skazanym na śmierć a kto ocalonym? gdy nagle jeden z officerów, który wyciągnął los szczęśliwy, cofa się od wejścia do łodzi, ustępuje swego miejsca innemu officerowi. Był on kawalerem a tamten żonatym, ojcem rodziny, wiele żyć innych wiązało się z jednym jego życiem, więc samotny, po którym nikt nie miał zapłakać goręcej, oddawał mu swoje prawa do dłuższego istnienia na ziemi i gdy ofiara została przyjęta, bohater cofnął się spokojnie poza siebie, łącząc się z tymi, których przeznaczeniem był za chwil kilka zgon okrutny w ogniu lub wodzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

przez

J. I. Kraszewskiego.

Korrespondenci. — Bismarck i Gambetta. — Rzeczpospolita i parlamentaryzm niemiecki. — Kulturkampf. — Podatki. — Wojna. — Berlin. — Monachium. — Paryż. — W. Hugo. — „Cesarz“ Ebersa. — Francuzkie przerobienie. — Novella we Francji. — Próbkki. — Ostatnia powieść pani Sand. — Włoszczyzna. — Panna Maryanna Evans i jej dzieła. — Ilustrowane wydania nowe. — Dumasa *Księżniczka z Bagdadu*. — Jul. Verne. — Teatr francuzki.

Najniebezpieczniejszymi z ludzi są korespondenci dzienników, gdy nie mają pisać o czem. Naówczas pragną i wyglądają katastrof, gotowiby wywoływać konflikty, cieszyć się z trzęsienia ziemi i politycznych zawiązań. Tymczasem, z wyjątkiem Casamiccioli, nigdzie się ziemia nie poruszała, a sprawa grecka weszła w to stadium, w którym stała się poprostu nudną. W Niemczech zawsze ten sam Bismarck u steru, we Francji zawsze na widoku Gambetta, bo Grévy ledwie się liczy. Około tych dwóch potężnych osobistości skupia się życie polityczne dwóch państw współzawodniczących; obie one wszytych ich oczy pociągają ku sobie. Lecz o księciu Bismarcku słychać mało, bo pisać o nim niewolno, chyba sam się odezwie, a naówczas z komentarzami ostrożnie być też potrzeba; na Gambecie wieszają ludzie co chcą.

Ani jeden ani drugi z tych bohaterów dnia nie myśli ustąpić z placu. Żelazny mąż oświadczył niedawno, że się od steru usuwać nie myśli, a Gambetta jest dziś kandydatem do przyszłej prezydentury, której, jak się zdaje, nie wyrzeka się wcale.

We Francji krzepi się Rzeczpospolita i o zmianie formy rządu tymczasowo mowy niema, bo żadne stronnictwo siły do zamachu nie czuje w sobie. W Niemczech tymczasem wyrabia się na tle reprezentacyjnego systematu, *sui generis* ustawa, zastosowana zapewne do potrzeb, dojrzałości i stanu kraju.

Przybывают tu nowe instytucje, wyrabiają się prejudykaty — i zczasem Niemcy mieć będą konstytucją oryginalną, do żadnej innej niepodobną. Ks. Bismarck dźwiga na potężnych swych ramionach rodzaj dyktatury; co on chce, to przyjsć musi, prędzej później.

Zapowiadają znowu układy z Rzymem, zakończenie kulturkampfu, znalezienie jakiegoś modus vivendi; ale po tylu zawodach mało kto daje wiary pogłoskom. W czasie wesela i bytności króla Saskiego długą jego konferencją z ks. Bismarckiem przypisywano tej sprawie.

Powtarza się też wieść o przyszłej reformie systematu opodatkowania, zmiany podatków bezpośrednich na pośrednie. Naturalnie reforma mieć będzie na celu zwiększenie dochodów, a ułatwienie ściągania ich. Po liście Moltkego wiemy już, iż wojna jest nieuchronną koniecznością, a nawet — dobrodziejstwem! Feldmarszałek wskazał strony jej dodatnie, zapominając o ujemnych.

Istotnie, wojna do heroizmu pobudza, wyrabia pewne cnoty, karność, ofiarność, zapał, miłość kraju — lecz ci, co świadkami krwawych zapasów bywali, mogą też dowieść, iż żołnierza dzikim czyni, okrutnym, rozpasanym.

Po kampanii 1870 r. słyszeliśmy nieraz z ust spokojnych Sasów, że powracających do rodzin żołnierzy poznać nie mogli, tak ich znajdowali zmienionymi. W domach własnych, z familią obchodzili się jeszcze jak z nieprzyjacielem.

Być może, iż przez czas bardzo długi jeszcze wojna będzie tem *malum necessarium*, jakim ją feldmarszałek ogłasza; nie rozpaczamy jednak, iż kiedyś wyda się środkiem barbarzyńskim do zdobycia, co się komu sprawiedliwie należy.

Berlin w ostatnich dniach cały był uroczystościami weselnymi przejęty i zajęty. Na podarki wspaniałe i kosztowne kraj się cały wysłał, ale z flegmą niemiecką, bo wiele z nich nie było w terminie gotowych, i — zastępowały je, foto-

grafie. Opisy tych darów całe szpalty zajmują w dziennikach. W Monachium nieszczęśliwy wypadek w czasie zabawy urzędowej przez artystów, tragiczna śmierć kilku z nich, zatruty zapusty. W Paryżu zaprzętały umysły obchód rocznicy Wiktora Hugo — a wypadek bardzo świetnie i starego wieszczą do łez poruszył. Przeciwnicy poety (polityczni) chociaż w nim nie uczestniczyli, przynajmniej popsuc go nie zdołali, a wybryk Zoli w „Figarze“ przeciw W. Hugo przebrzmiał jak fałszywa nuta, wielkim chórem zagłuszona. „Figaro“ od redakcyi też chciał się przysłużyć pocie czemś niesmacznem i poświęcił numer cały cytacyom z dzieł W. Hugo, które z dzisiejszemi jego przekonaniami się nie godzą. Były one powszechnie znane, i nikt za złe nie może mieć człowiekowi sumiennemu, że żyjąc, przechodząc przez szkołę doświadczenia, zmienił zdanie o ludziach i ich sprawach, a poszedł z duchem wieku.

Rzadko komu danem jest takie jasnowidzenie prawdy, takie pojęcie przeszłości i przyszłości, aby mu one starczyły na żywot cały. Upór przy zdaniu, którego fałsz się uznało w sumieniu, daleko naganniejszym-by był niż poprawa i przyznanie się do błędu.

Towarzystwo Literackie Międzynarodowe (między innymi) przyniosło W. Hugo kilka tysięcy podpisów ze wszystkich części świata. Złożyły one dwa grube tomy wierszy, wykrzykników, uwielbień i czułości. W. Hugo, pomimo wieku swego, wystąpił dnia tego odmłodzony, ożywny, przejęty i z daleko większą prostotą słowa niż zwykle, bo z większym uczuciem, odpowiedział na składane mu hołdy.

Z niemieckich nowości poczytnych, najgłośniejszą znają już polscy czytelnicy w przekładzie polskim. Mówimy o „Cesarzu“ Ebers'a. Jest to, jak on sam powiada w przedmowie, ostatni jego obraz starożytności, ostatnia powieść egipska. Życia w niej wiele, erudycya znakomita, bo autor liczy się do najcelniejszych egiptologów współczesnych; słyszymy tylko jeden zarzut czyniony mu powszechnie, i nie bez podstawy, że autor zbyt umodernizował świat ów starożytny, który inaczej niż my wyglądał, myślał i mówił. Człowiek wprawdzie zawsze jest samym sobą, potrosze do siebie podobnym, ale tok myśli, język, formy życia, zmieniają się wielce. Gdybyśmy prawdy tej uznać nie chcieli, musielibyśmy zaprzeczyć postępowi ludzkości, rozwojowi jej duchowemu, którego pomniki i dzieje dowodzą.

Z dwutomowej tej powieści Ebers'a, francuzki przegląd *Revue politique et littéraire* zrobił króciutką nowellę, do smaku francuzkich czytelników zastosowaną. Nie jest bez znaczenia pewnego faktu ten, że przegląd, który długo nie mieścił w sobie żadnych powieści, od początku roku uznał ich potrzebę i format nawet dla nich rozszerzył. Jest to pewnego rodzaju zwycięstwo, które nowella otrzymała. Na przemiany daje teraz oryginalne francuzkie, i z obcych języków — naśladowane lub skracane.

Smak Francuzów jest tak jakoś różny od usposobień innych narodów, że żadne opowiadanie angielskie, niemieckie, włoskie, w całości się nie ostoi. Zwykle zostaje z niego skelet tylko i sceny główne; reszta, jako nudna, odpada. Dla Francuzów większa część rzeczy pisanych przez obcych bywa nudną. Goethe uznany jest nadzwyczaj nudnym. Obok niego Sacher Masoch miał to szczęście, iż zabawił, i w „Przeglądzie dwóch światów“ figurował ze swemi jaskrawemi obrazkami i wiekiustą Kacawejką. I to taż sama „Revue des deux mondes“, drukowała niedawno jeszcze G. Sand: *quantum mutatus ab illo!*

Ad *vocem* pani Sand powiedzmy, że ostatni jej romans pośmiertny (w listach) „Albinę“ drukuje „Nouvelle Revue“ pani Lamber, która właśnie dokończyła i ostatniego pośmiertnego opowiadania Flauberta.

Z niemieckich popularniejszych pisarzy Spielhagen drukuje nową powieść, której tytuł coś włoskiego zdaje się zapowiadać. Powieści na tle włoskiem od czasu P. Heysego coraz bardziej wchodzi w modę.

W Anglii także Włochy w świecie powieścio-

pisarskim (Bulwer, Ouida i t. p.) często się bardzo zjawiają. Nawet znakomita autorka „Middlemarch“, niedawno zmarła, p. Maryanna Evans, pod pseudonymem Jerzego Eliot wślawniona, hołdując temu upodobaniu we włoskich typach i krajobrazach, napisała: „Romolę“.

Panna Evans, która zawód swój rozpoczęła od tłumaczeń Straussa i Feuerbacha, a była wychowanicą i uczennicą Herberta Spencera i Stuarta Mill'a — już temi imionami mistrzów swych się charakteryzuje. Umysł to był poważny, a choć sama forma, którą sobie obrał, na pozór lekką wydawać się mogła, we wszystkich dziełach jego czuć kobietę myślącą, wysoko wykształconą.

Przekładane na wszystkie prawie europejskie języki powieści J. Eliot, poczynają się od ogłoszonych w r. 1858 „Scen z życia klerykałnego“ (angielskiego). W następnym wyszedł „Adam Bede“, dalej (1860) „Młyn na Flossie“, „Silas Marner“ (1861), „Romola“ (1863), „Felix Holt“ i t. d. „Middlemarch“, Sceny z życia na prowincyi, jedno z najwyższymi cenionych dzieł autorki (4 tomy), — ukazało się przed laty dziesięciu.

Pośmiertnych rękopismów pozostało po niej kilka, których ogłoszenie zapowiadano.

Wpływ studiów Straussa i Feuerbacha na całym żywocie i pismach panny Evans jest widoczny, niezatarty; nie odbiera jej jednak prawdziwie niewieściej wyrozumiałości, dobroci, połaźliwości w sądzeniu o ludziach z wyżyn gorzkiego sceptycyzmu, osłodzonego politowaniem; przejmującym smutkiem, którym obkłada ją zwątpienie, napiętnowane są wszystkie dzieła p. Evans. Pod względem stylu, wykończenia, wartości artystycznej, nieustępuje ona żadnej ze współzawodniczek swych w literaturze angielskiej. Porównywano ją do G. Sand. Mniej jednak uczucia, ciepła ma Eliot, której umysł panuje nad sercem. Zajmujące to duchowe zjawisko XIX wieku.

Córka ubogiego duchownego angielskiego, panna Maryanna miała szczęście być adoptowaną przez majątnego przyjaciela rodziców, duchownego także, który jej dał wychowanie staranne. Jednym z późniejszych jej nauczycieli i kierowników, był, jakeśmy mówili, Herbert Spencer. Stuart Mill, drugi opiekun, widząc w niej zdolności niepospolite, wyrobił jej wstęp do redakcyi „Westminster Review“. Wystąpienie na polu powieściopisarstwie poprzedziły poważne i bardzo daleko posunięte studia, które opłaciła zupełnie zwątpieniem.

Do nowości, o których dla charakterystyki chwili wspomnieć należy, liczą się mnogie wydania z przepychem i kosztem wielkim ilustrowane, we Francyi i w Niemczech. Zdają się one mieć powodzenie, gdyż liczba ich rośnie, a niektórych edycye powtarzają. Po ilustrowanych Włoszech i Szwajcaryi w Niemczech, nastąpiły rozmaite części własnego kraju i prześlizna Hiszpania. Paryzki wydawca Rotschild wydał bardzo piękną, ale na nieszczęście zbyt już dawniej wyilustrowaną i znaną Wenecyą (Ch. Yriarte), po której nastąpiła tegoż autora Florencyja. Obiecuje on nawet takąż ilustrowaną Polskę Correnti'ego.

Dziennikarstwo francuzkie usiłuje osłabić przykre wrażenie, jakie na publiczności uczyniło przedstawienie najnowszej sztuki Dumasa syna „Księżniczka z Bagdadu“. Dumas, który wielkiej sławy zażywa, popelniał w tym dramacie, obfitującym w sceny pełne życia i dowcipu — niepojętą w człowieku tak utalentowanym, doświadczonym i wykształconym smaku — omyłkę.

Treść jej obfituje w takie nieprawdopodobieństwa życiowe i psychologiczne, iż pojąć trudno jak się mógł nią zaspokoić. Wprawa i talent dozwołyły wykonaniem pokryć w części potworność rusztowania. Powolna i wyrozumiała publiczność pomimo sympatyj dla autora, nie mogła znieść niektórych sytuacji wstrętnych i oburzających. Pomimo to zdaje się, że sama ciekawość utrzyma ją na repertoarze.

Znany ze swych romansów przyrodniczych, etnograficznych i geograficznych, Jul. Verne, po raz już setny napelnia teatr sztuką z ostatniej swej powieści (Strogow) przerobioną na scenę.

Nadzwyczajny przepych dekoracyi, ubiorów, nagromadzenie wypadków dziwnych, obrazy kra-

jów nieznanymi, umiejętne zastosowanie się do smaku publiczności — cudu tego dokazały.

O wartości artystycznej dzieła mowy niema. Czemże dziś stał się teatr Moliera i Rasyne, W. Hugo i Dumasa starego? Panuje na nim przerbiony Zola, przeistoczony Daudet, przedramatyzowany Verne; a nadewszystko exhibicya piękności, sztuczek, ogniów, zwierząt i wszelkiej hecy. Dramat stał się niemożliwym, komedya musiała się zapożyczyć od tego nieboszczyka. Wesoly wodewil lepszych czasów zastąpiła swawolna operetka.

Co dalej będzie? Zapewne, wedle powszechnego prawa — przyjdzie kiedyś reakcyja i — jakaś odmłodzona nowość, która zastąpi to, co dziś widzimy.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Wojna chocimska, poemat Wacława Potockiego, wydany w Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej w 1880 r. z dołączeniem drobniejszych poezyj; stron. XXVIII, 31—458 i XVII; in 8-vo; druk i nakład S. Lewentala w Warszawie.

Wysmienite pióro Potockiego stworzyło prawdziwe arcydzieło, zasługujące na sławę, nie tylko jako utwór, ale jako rzecz stworzona w największym upadku smaku i nauki w Polsce. Okres pozajagielloński w dziejach naszej literatury zwykłe u historyków jej, nosi miano okresu *makaronicznego*. W pierwszej swojej połowie nie jest on jednak tak zły, jak złym go zrobiono. Nie odpowiada on w zupełności czasom Batorego, Zamojskiego, Żółkiewskiego i Chodkiewicza; brak w nim tej energii silnej, brak tego odbicia wypraw, brak tej rycerskości, a poeci lubują się sentymentalnemi sielankami (Simonowicz i Zimorowicz) lub nabożnemi pieśniami, któremi celuje Miaskowski. Nie szukać też wojennego odbicia w tłumaczeniach włoskich Tassa i Aryosta, dokonanych przez Piotra Kochanowskiego i w naśladownictwie Horacego, którem celował Sarbiewski. Potocki nie liczy się do tej grupy. Urodzony około 1622 r., należy on do drugiej, daleko bolesniejszej połowy tego okresu, a najsilniejsza, najpiękniejsza chwila życia przypada na najgorsze rozruchy, na najboleśniejsze przejścia krajowe. Obok niego stoją u teru literatury zawsze tacy ludzie: jak Krysztof Opaliński, wojewoda poznański, znany zdrójca zpod Ujścia, który swojemi satyrkami bez najmniejszej poetycznej wartości, w przesadzonych kolorach odmalował nam życie polityczne i moralne, z iubeźnością właściwą lekkomyślnym charakterom; lub jak Jerzy Lubomirski, który swoim „Manifestem“ reprezentował tę partya demagogiczną literatury, którą wbrew prawdzie i sumieniu przewracali szlachcie głowy przewrotni możnowładcy; albo słynny Maxymilian Fredro, enotliwy, ale doktrynerski kasztelan Lwowski, który w „*Scriptorum toga*“ wystąpił w obronie *liberum veto* i wolnej elekcji.

Potocki nie poszedł tą drogą; zwrócił się on w inną stronę, przechylił się swemi pismami tam, gdzie dawano dobry przykład podupadającemu narodowi. Poszedł on za Prażmowskim, Morsztynem i innymi; poszedł dalej, bo zasięgnął z *Commentarium chotinensis belli* (pamiętnika wojny Chocimskiej), spisane przez nacownego świadka, Jakóba Sobieskiego — treści — stworzył *rycerską epopeję*, którą uzupełnił niedostatek pierwszej połowy tego okresu i przedstawił nam, że w tych czasach, w których żył, nie brak było ludzi prawdziwie zdolnych i prawdziwie rozumiejących potrzeby kraju.

„Wojna Chocimska“ jako całość złożona jest z dziesięciu części, ale bezzasadnie podzielonych. Treść jej jest osnuta na wypadkach zaszłych od 1617 do 1622. Stefan Potocki naruszył długotrwały pokój z Turkami, co sprowadziło na Polskę groźny napad Tatarów. Wydelegowano przeciw nim Żółkiewskiego, ale ten, widząc potrzeby kraju, dwukrotnie nie staczał z nimi walki,

za co naraził się na nieprzyjemne szemrania i wymówki na sejmie (1617/18 r.)

Pomimo tego i trzeci raz wyszedł na spotkanie nieprzyjaciela i stanął w obozie pod Cecorą. Oblężony przez dziesięćkroć większe siły tureckie z Iskenderem baszą na czele, któremu przyszedł z posiłkami i wojewoda siedmiogrodzki Beulen Gabor, widząc niezgodę w swoim wojsku, postanowił Żółkiewski ruchomą twierdzą wprowadzić je do granic Polski. Złożono przeto wozy, związane je łańcuchami i tak ciągnięte ze środka wołmi — broniono dokoła. Nowe rozruchy wewnątrz stały się przyczyną rozbicia taboru niedaleko Mohylowa. Taki jest początek *Wojny Chocimskiej*, taki jest epizod bitwy pod Cecorą.

Zadowolony sułtan z takich rezultatów, a był nim Osman I, nie poprzestał na tem i pragnął rozpocząć swoje rządy od ujarznienia Polski. Pod ogromną groźbą znalazł się sejm zebrały w Listopadzie (1620 r.). Rozwinięto dawno niewidzianą energią w przygotowaniach wojennych, rozesłano poselstwa do mocarstw chrześcijańskich, naznaczono wodzem Karola Chodkiewicza, zarządzono zaciągi cudzoziemskie, okazała się chwalebna gotowość w ofiarowaniu hufców prywatnych. Jednakże mocarstwa europejskie zawiodły, a Ojciec Święty przyrzekł, jeżeli Polacy zwyciężą, dać im jedno święto więcej. Najgorzej jednak znalazł się Niemiec, który, pomimo tego, że otrzymywał pomoc od Polski, że 1500 dzielnych kozaków pod Lissowskim biło się u niego, nie tylko, że nie przyszedł z pomocą, ale i werbować w swoim państwie zabronił żołnierzy, starając się oprócz tego zerwać sejm, aby czwartą koronę na tem wszystkiemu mógł sam zarobić.

Nie zięcili się jednak zamiary niemieckie.

Chodkiewicz wraz z pomocą kozacką zebrał około 76,000 żołnierza, a przeprawiwszy się przez Dniestr, stanął na starym poboju pod Zamojskiego pod Chocimem i tam się oszańcował. Naciągnął i dumny Osman, ale napady na obóz polski nie powiodły mu się zupełnie. Zmuszony zimnem powietrzem i wytrwałością Polaków do przyjęcia warunków, podpisał dnia 9 października traktat, którego negocjatorem był z polskiej strony Jakób Sobieski. Taką mniej więcej ogólną treść zawiera w sobie ten cały poemat, który wbrew Tyszyńskiemu, nazwę *epopeją rycerską*. Nie sądzę, czytelniku, aby tu podana treść była wszystkim. Nie — epopei w paru słowach opisać, ani streścić, jak powieści, nie można. Jest tam watek epiczny, który przechodzi z wiersza na wiersz i potrzebuje subtelniejszego pióra i obszerniejszego miejsca do opisania. Są tam typy prawdziwie piękne, jest tam precudowny koloryt natury. Przytoczę ci ważniejsze przynajmniej postacie — każda z nich ujęta innymi charakterystycznymi cechami: czy to będzie dumny i poważny Chodkiewicz, odczuwający duszą swoje i kraju położenie, czy szczodry Lubomirski, czy wreszcie gnuśny i tchórzliwy Zygmunt III wraz z chorującym swoim synem Władysławem.

Jako reprezentant kozaczyzny, dobrze jest uchwycony dzielny Sajdaczny, albo też Węgier Fekiety, ze swoimi gardłaczami, ukrywający się w lasach, jak Dobrzyński (Konewka). Sam Osman odznacza się wielką energią; znać w nim dzielnego, ale niewprawnego rycerza. A Mufty, ów stary kapłan, napominający młodego sułtana, a pochlebcy Osmanowi i ów bitny Karakaczy i zazdrosny Hussein, albo ten chytry Radur i podstępny Wewel! Wszystko to są typy zupełnie skończone. Ażeby dać lepiej poznać ten cały utwór, przytoczę jeszcze parę ustępów z poematu; oto opis owego taboru z części pierwszej:

W siedm przebrane szeregów skartowano wozy,
Z pola spięte łańcuchy, a zewnątrz powrozy,
Że w jeden raz stać wszystkie, wszystkie iść musiały,
Przód i tył nabitemi opatrzone działa;
Jezdne konie we środek, bo wszyscy piechotą,
Z obudwu stron taboru rota szła za rotą.
Korecki z Farenbachem rozkazał w przodzie,
We środku Kazanowski, Szemberg na odwodzie;

Tym gdy z miejsca porządkiem, przez wały zró-

[wnane,

Ruszą tabor, pogaństwo, zrazu zadumane,
Patrzy, co to za dzieło, toż jako się zbliża,
A twardą ich z dział naszych naszpikują spiżą.

Daleko jeszcze jest ładniejszy opis mostu, który Chodkiewicz pobudował na Dniestrze:

Nowy cud u wszech ludzi, żeby tyli wzrostem,
Tak bystry Dniestr pozwolił brzegi spinać mostem,
Który na nim od świat stworzenia nie powstał,
A teraz, jakoby go Chodkiewicz ochrostał,
I acz cierpieć nie mogąc ckliwy strumień siodła,
Tak wodę ścisnął, że go kilkakroć przebudła.
Podda się naostatek, poznawszy magistra,
I da osieść kark hardy owa woda bystra.

Lub opisy natury:

Już też rok był na schyłku, już wypadłszy z wagi,
Słońce coraz to szczuplej zagrzewa świat nagi,
Który zima oskubszy ze wszelakiej kraszy,
Tak bydłu, jako zwierzu zamknęła popasy,
Wszystko z pola zegnała, zaraz za swem przyjściem,
Okrom — co gałązkami — albo żyje liściem,
Już i pasterze swoje puścili koszary
I ptak poszedł na zwykle do Cieplic opary,
Prócz tych, co się na nasze spuściwszy urobki,
Całą zimę po brogach wysysają snopki.
Twardy mróz ujął ziemię — chociażby po bagnie
Kartony prowadził, pewnie się nie nagnie...

Inne są ironiczne ustępy, szczególnie te, które odnoszą się do króla:

Bywaj! bywaj Zygmuncie, a za niedziel cztery,
Rozłożysz w pod-Dunaju swoich wojsk kwatery;
Bywaj i orłem przeleć można-li Podole,
Zdarzy Bóg, że na wiosnę ujrzym się w Stambole,
Ale cię Lwów, przez dzięki, Lwów nieszczęsny
[trzyma,
Wolisz niż ręką wojnę prowadzić uszyna.

Czy nie chcesz? czy się boisz? czyliż to oboje?
Puść przynajmniej rycerstwo pod chocimskie boje,
Albo już siedź, na próżne czekając powiaty,
Aż — nas — miasto wygranej — zapadną traktaty.

Widzimy więc, że Potocki wygórował nad otaczających go myślą i poczuciem piękna. W jego *Wojnie Chocimskiej* wiele jest obrazów prawdziwie artystycznych, prawdziwie wykończonych. Epopeja cała jest pisana z wielką werwą i niewyczerpanym dowcipem. Tem więcej zdumiewający jest ten objaw poezji w czasach tak jałowych, jak są czasy Jana Kazimierza i Korybuta. Potocki niezawodnie nabrał smaku i gustu przy pierwszych przekładach, których dokonywał z łacińskiego. On wyrobił się na tych wzorach i stworzył swoją epopeję, ale nie wedle formy klasycznej, lecz poszedł za wzorem romantyków francuzkich. Dlaczego zaś swego utworu nie drukował Potocki zaraz po skończeniu, to także mniemam przeciwnie, niż Tyszyński, który przypisywał to lekceważeniu tej pracy przez samego autora. Nie, on jej tylko nie mógł ogłosić drukiem, i choć Jan Kazimierz, abdykował, to jednak nie wypadało mu, do ostatka, wobec całego świata potępiać tej dynasty; przynajmniej w milczeniu musiał ukryć to niedołęztwo Wazów, którzy, nie dobrego dla kraju nie zrobivszy, opuścili tron osierocony polski, nie bez winy samych Polaków.

Potocki w swojej *Wojnie Chocimskiej* jest człowiekiem postępowym, idącym równo z ludźmi słynnymi za granicą — kształci się on, a raczej dojrzewa, na tych nowszych wzorach — nabiera, co się tyczy spraw publicznych, szerszego poglądu i nie staje się doktrynerem, jak inni mu współcześni. Kocha on Polskę, ale w innym zupełnie zna-

czeniu, jak to czynili: Jerzy Lubomirski, lub poczciwy, ale doktrynerski Fredro.

Potocki widzi dobrze, że Rzeczypospolitej potrzebny jest zbrojny żołnierz, rozumie on dobrze, że nie mogą ponosić tych ciężarów sami chłopci, bo oni nie są o tyle bogaci, o tyle możni — a wyciskane podatki zmuszają ich czasem do sprzedania ostatniej poduszki.

Niezaprzeczenie też bardzo go boli, że ludziom niezasłużonym dostają się najczęściej wyższe urzędy i godności, a ci za to odwdzięczają się najczęściej krajowi zrywaniem sejmów.

Szczególniej okazuje się on w swoich pismach przeciwnikiem polityki niemieckiej. Już wskazaaliśmy, jak się oburzał, kiedy Niemcy tak nieszlachetnie postąpili z Polakami — którzy zażądali od nich pomocy. Widzimy więc, że Potocki dobrze rozumiał i pojmował polityczne położenie Polski, widział jej potrzeby, widział jej groźnych nieprzyjaciół.

Niestety, niedługo jednak cieszył się, patrząc na zwycięstwa młodego Jana, hetmana koronnego, nad Turkami, który z całym swoim stronnictwem dążył do przymierza francuzkiego. Niestety! ostatni pewnie to był jego wiersz pochwalny, napisany na cześć Sobieskiego, powracającego z wyprawy tureckiej, któremu drogę do dalszego świetnego zwycięstwa zagroziło niepłatne wojsko — i odwrót litewskiego hetmana Paca.

Wkrótce potem Sobieski został obwołany królem, niedługo potem bohaterem zpod Wiednia. Europa głosiła sławę Polski. Jednakże Potocki¹⁾ sześćdziesięcioletni starzec — milezał! Nie wziął pióra do ręki, aby zapisać, aby zaznaczyć jakimkolwiek wierszykiem to zwycięstwo. Ostygł w swoim zapale, a z nim i duch twórczy odrętwiał. Wolał on drukować dziwny i bezwartościowy *Poczet herbów*, niżli opisać to, co tylko pozorną sławą — a w rzeczy samej — zgubę niosło ojczyźnie.

W. C.

NOWINY PARYZKIE.

Wiktor Hugo i obchód 80-letniej rocznicy urodzin jego. — Inicytatywa Towarzystwa Literackiego-międzynarodowego. — Piękny podarek dla poety. — Polacy na czele. — Odpowiedź pełna prostoty sędziwego wieszca. — Odezyty o literaturze polskiej w sali posiedzeń tego stowarzyszenia w Paryżu. — Dzieło anatomiczne Dra Witkowskiego, po francuzku napisane. — Kwestye dotyczące się oświecenia publicznego we Francji. — Szkoły początkowe dla nauczycieli i naucezycelek wiejskich. — Nowy programat naukowy. — Dekret prezydenta Rzeczypospolitej i instrukcje ministerjalne. — Zbyt wielka obszerność programatu i jakie w nim miejsce zajmuje nauka religii? — Nowe książki. — Książka rozumnego człowieka *Zielonym atramentem*. — Zoli: *Naturalizm w teatrze*. — *Teorya i przykłady*. — Vast-Ricouarda *La haute Pègre*. — Teatr i cenzura. — Sztuka zabroniona. — Pojedynyk autora z synem bohatera dramatu. — Jeszcze reklama. — Bornier i jego przysły dramat *Apostol*.

Paryż, w Lutym 1881 r.

Wiktor Hugo! Niewypuszczajmy pióra z ręki: imię to samo nastęcza się kronikarzowi. D. 27 Lutego obchodzono w Paryżu 80-letnią rocznicę urodzin wielkiego poety. Piękny wiek i wielka sława! Towarzystwo międzynarodowe literackie, którego sędziwy wieszcz jest honorowym prezesem, wzięło inicjatywę tego obchodu, który był jednym z najmilszych wrażeń dla poety. Miłuje on Paryż nad wszystko: wszelkie manifestacje które pochodzą z tego ogromu ludności tak dziwnej, tak niesfornej, a tak inteligentnej zarazem, z Paryża, są największą rozkoszą dla serca poety.

Towarzystwo międzynarodowe literackie, podejmując początkowanie w tym względzie, dzięki niezmordowanej działalności swego generalnego

1) Potocki urodził się w Potoku około 1622 r. z linii, nie Piławitów, lecz Szreniawitów; zmarł w 1696 r. Pisał wiele, ale nie wszystko było za życia drukowane; przede wszystkim wiersz *Pełna* na zwycięstwo Jana Sobieskiego i *Poczet herbów*. *Wojna Chocimska* dopiero w 1850 roku pierwszy raz była ogłoszoną drukiem we Lwowie — i to pod nazwiskiem Lipskiego, któremu dedykował Potocki swój poemat. Dopiero Szajnocha w swoim szkicu dowiódł prawdy i odnalazł właściwego jej autora.

sekretarza p. Lerminey, urządziło część swoją w tym obchodzie w sposób zarazem bardzo oryginalny i bardzo delikatny. Otrzymane adresy, podpisy i telegramy ze wszystkich stron świata, tysiącami się zwały do biura redakcyi i dozwolili sporządzić dwa grube wolumina pięknie oprawne, poprzedzone wstępą przemową od komitetu towarzystwa i alfabetycznym spisem nazwisk wszystkich honorowych i czynnych członków stowarzyszenia.

Ponieważ sędziwy poeta zawsze znajdował wzruszone jakieś słowo i myśl przychylną dla Polski, polskie więc telegramy, adresy i podpisy umieszczono gościnnie na początku pierwszego tomu. Poprzedzał je antograf naszego drogiego nestora, zawierający te słowa: „Onorate l'Altissimo Poeta!“ podpisano J. I. Kraszewski.

Zostawiając manifestacye ogólne na dzień 27 Lutego, komitet towarzystwa in gremio, mając trzech swych prezosów tegorocznej sessyi na czele, udał się o 1-ej godzinie, do mieszkania W. Hugo, d. 26 lutego w wigilią obchodu — Avenue d'Eylau pod Nr. 130, przyjął nas jubilat sędziwy w swoim wesołym, świeżym saloniku. Zastaliśmy go, stojącego przed kominkiem; obok siedziała kobieta o siwych włosach, ale o twarzy ożywionej, o błyszczącym jeszcze oku, które zdawało się przypominać wszystkim, znajomym i nieznanym, że należy przechodzić z uwagą przed temi dwoma okienkami rozumu i inteligencyi. Była to ¹⁾ jedna z pierwszych przedstawicielek jego *Lukrecyi Borgii*; debiutowała ona w tej sztuce w 1832 r. w roli księżnej Negroni. Dziś zwawa jeszcze starowina, przypomina obok olbrzymia, że ten skromny kwiatek, kiedyś się tulił pod skrzydłem jego kolosalnej sławy.

Po lewej stronie stał Emil Augier, rumiany, czerstwy, dobrej tuszy, jak gdyby chciał przypominać mistrza z dawniejszych, minionych czasów. Siwy jak gołąb, uśmiechający się ale wzruszony, stary wieszcz wysłuchał również wzruszonych przemów — swoich prawdziwych wielbicieli, i tak odpowiedział na nie:

„Jestem głęboko wzruszony tem, co was dziś sprowadza do mnie. Nie przypisuję sobie jednak żadnego ztąd zaszczytu. Jestem w tej chwili okazywać tylko i szczęśliwy, że myśl uczczenia piśmiennictwa potrafił obudzić w sumieniu wszystkich — gdyż piśmiennictwu to, a nie mnie, oddaję cześć Francya i świat cały w dniu dzisiejszym. Ja nie nie znaczę! jestem tylko pisarzem, który dopełnił swego obowiązku. Pamięć obowiązku nie opuściła mnie nigdy w życiu. Obowiązek to zaprowadził mnie na wygnanie, gdzie myślałem, że umrę. Obowiązek przyprowadził mnie napowrót tutaj. Nie jestem więcej wygnanym, gdyż widzę, że mnie otaczają wokoło, przyjaciele i bracia“.

To przemówienie proste (za którego dosłowność i wierność tłómaczenia odpowiadam), ale wyrzeczone głosem wzruszonym, głęboko dotknęło nas wszystkich. Ten skromny salon poety, przybierał rozmiary jakby jakiejś ogromnej Walhali, a nasze grono zdawało się być niezliczonym tłumem ludzkości. Opuuszczając te gościnne progi i żegnając poetę, każdy miał jakby lzy w oku.

Nazajutrz — wszystkie towarzystwa literackie i artystyczne posłały deputacye dla oddania czci i pokłonu poecie. Wesołe i pełne zapału, przeciągały one tłumnie przed mieszkaniem Hugona, który z dwoma swojemi wnukami przyjmował ten hołd wiernego mu Paryża. — Wiankami i bukietami zawałono dosłownie przejście do domu poety, i żadnego wyrażenia czci i miłości nie zabrakło w tym dniu świątecznym. Skończyło się to wieczorem w teatrze „de la Gaité“, gdzie przedstawiono *Lukrecyą Borgią*, i gdzie sędziwy jubi-

lat nowe zebrał tryumfy. Piękny to i pocieszający widok narodu, oddającego cześć swojemu wieszczowi. Na tej drodze my poprzedziliśmy innych w Krakowie 1879 r.

Tego roku, w sali posiedzeń Towarzystwa literackiego międzynarodowego w Paryżu, odbyły się konferencye. Wspominamy o tem — bo, rzecz oddawna już tu niesłychana, mieliśmy tam odczyty o literaturze polskiej. P. Wacław Gasztowt wymownie i pięknie opowiedział dzieje poezyi polskiej w XIX wieku, a p. Chodzkievicz Władysław w trzech prelekcjach obznajomił Francuzów z życiem i pismami Kraszewskiego.

Jeszcze jedna literacka wiadomość, jako przyczynek do naszych pisarzy, choć w obcym piśmie języku. Doktor Witkowski ogłosił ostatniemi czasy u wydawcy Lauwereynsa spory tom, wielkiego formatu in 8-o, z pięknym atlasem pod tytułem: *Budowa i funkcyje ciała ludzkiego* (Structure et fonctions du corps humain). Dzieło to użyteczne równie dla uczonych, jak zajmujące dla ludzi światowych, odznacza się wielką jasnością wykładu i wytwornością wydania.

Więcej niż 400 rycin objaśnia text, pomnaża ważność i dodaje wdzięku uczonemu dziełu. Dodajmy do tego atlas, który się składa z trzech większych tablic, mogących posłużyć zarówno do każdego dzieła, traktującego o anatomii i fizjologii ciała ludzkiego. Tablice te, których rysunki kolorowane wykrojone i zastosowane są w taki sposób, iż jedne ich części pokrywają drugie — tłómaczą doskonale skład rozmaitych części ciała naszego, a szczególnie oka, gardła, mózgu i t. d. Jest to, jednym słowem wyborny i najnowszy przewodnik dla medyków, a nauczający podręcznik dla ciekawych ludzi.

Sprawa oświecenia narodowego wszędzie jest rzeczą ważną, a dziś we Francyi zajmuje najpierwsze miejsce, a nawet przechodzi doniosłością reorganizacyą wojska, która postępuje spokojnie, powoli i bez żadnych manifestacyj zewnętrznych. Z tej to kwestyi oświecenia wyszły, jak wiecie: *Kwestya instrukcyi cywilnej*, tak zwana (Instruction laïque); następnie *kwestya konwentualna*, czyli (des Congrégations), a nakoniec i sama kwestya religijna. Wszystko więc co się tyczy, zdaleka czy zblizka tej sprawy, obudza tu wielką uwagę powszechności i daje hasło do namiętnej polemiki.

W tej chwili mamy tu na warsztacie dziennikarskim materiał niewyczerpanej rozprawy z powodu ogłoszonego dekretu prezydenta Rzeczypospolitej: *O porządku uczenia w szkołach normalnych poczynających, nauczycieli i nauczycielek* i postanowien p. ministra oświecenia, wyznaczających program naukowy: instrukcyi religijnej, instrukcyi moralnej i obywatelskiej (civique) i pedagogiki w szkołach normalnych i nauczycielskich.

My rzecz tę sądząc bezstronnie i obcy zupełnie namiętnym poglądom przyjacioł i przeciwników tego systematu, postaramy się pokazać to, co się nam wydaje zbyt rozszerzonym, zbyt obszernym w stosunku do celów, jakie starano się osiągnąć.

Jak wiadomo, wymagano dotąd niewiele od nauczycieli i nauczycielek poczynających szkółek wiejskich. Obowiązani oni byli dotąd posiadać gruntownie pewną ograniczoną ilość umiejętności najprostszyc, a następnie, jeśli to było możebnem, dołączyć do tych wiadomości przepisami wyznaczonych, pewną ilość wiadomości specjalnych ze sztuk przemysłowych, albo z nauk rolniczych lub metalurgicznych, najstosowniejszych do części kraju, w której mieliśmy sprawować swój urząd nauczycielski.

Otoż programat ministryalny rozszerzył granice tej skromnej wiedzy w sposób zaobszerny może dla nauczycieli tego rodzaju. Programat ten zawiera w sobie szesnaście klas rozmaitych wiadomości, mniej więcej dostępnych dla umysłów średnio-proporcjonalnej miary. Dosyć będzie

wskazać tu tytuł jednej z tych klas szesnastu: *Instrukcyja moralna i obywatelska*, aby mieć wyobrażenie o całości tego zarysu.

Co do piętnastu plas pozostałych, można śmiało twierdzić, że ten, kto by je posiadał *dość dobrze* tylko, mógłby być zaliczonym bezsprzecznie do *najpierwszej ćwierci obywateli wysoko ukształconych*. Z tego względu jeden z opozycyjnych dzienników zrobił tę słuszną uwagę, że gdyby z tym programem w rękę wzięto na examini całe ministerium, niewyluczając nawet i samego tłómacza Arystotelesa, szanownego pana Barthélemy Saint-Hilaire, żaden z nich nie potrafiłby odpowiedzieć z łatwością i w sposób zadośćczyniący programatowi, co do przedmiotów w nim zawartych.

W tej pierwszej klassie, o której wspomniałem wyżej, pod rubryką: *Instrukcyja moralna i obywatelska*, programat dotyka najwyższych poglądów z życia społecznego i politycznego narodu. Ciekawą jest rzeczą wiedzieć zatem: jacy to będą owi mędrcy, którzy w normalnych, poczynających szkółkach, będą wykladać takie nauki? I w rzeczy samej, tu niedość jest dobrej woli każdego i wszystkich — rząd oparty na zasadach nowych, nie może zostawić tego na widzimisię pierwszego lepszego nauczyciela. Obowiązkiem jest jego urządzić to w sposób: *ne varietur*, gdyby tu nie chodziło nawet, jak tylko o nadanie jednostajnego kierunku takim zakładom.

Ażeby wskazać rzetelną ważność tego *Rozporządzenia* (Le réglement), tej *Ustawy*, dosyć jest wymienić przedmioty, które zamyka w sobie pierwsza klasa. I tak, w liczbie wiadomości psychologicznych poczynających, spotykamy następujące zagłówniki: *o czułości fizycznej, o przyjemnościach i o boleści, o wrażeniach (sensations) wewnętrznych, o wrażeniach zewnętrznych, o potrzebach i żądzeniach (apétits), o czułości moralnej; uczucia towarzyskie i patryotyczne, uczucia prawdy, piękna i dobra, uczucia religijne*.

Dodajmy tu zaraz następującą, małą uwagę, co się tyczy nauki religii. Programat zbywa ją krótkim i zwięzłym ogólnikiem: „Nauka religii jest wykładaną przez kapelanów lub przez kapłanów wyznań, stosownie do artykułu 2-go, dekretu z d. 22 Stycznia 1881 r. Ten zaś artykuł powiada: „kapelanowie mianowani przez ministra, nauczać będą według zasad wiary, jaką wyznają uczniowie. Życzenia w tym względzie ojców rodziny będą zawsze usłuchane i spełnione co do udziału, jaki ich dzieci mają przyjmować w nauce religii“.

Teraz, wracając znowu do programatu, należy zauważyć że wszystkie tu wyżej wskazane przedmioty nauczania są zbyt wzniosłe, zbyt szczytne, aby się nadały do nauki w poczynającej szkółce. Braknie tu widocznie ścisłego praktycznego zastosowania do instytucyi tego rodzaju, jaką jest poczynająca szkółka wiejska. Jeżeli tu chodzi o ukształcenie filozoficzne nauczycieli i nauczycielek, to zaraz powstaje w umyśle obawa: czy tak usposobieni ludzie zgodzą się ze skromnym losem *wiejskiego nauczyciela*? i czy wobec chłopiat i dziewczeczek, jakimi są w ogólności chłopkie, wiejskie dzieci, nie będą uważali za całkowiec stracony, ten zapas filozoficznego wyższego ukształcenia? Wszak zdrowy rozum nas uczy, że według stawu należy budować groble.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się półarkusz 6-ty powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 13-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

(1) Panna Julia (Juliette) Dronšt.

TREŚĆ. Żony uczonych mężów, przez M. Ilnicką. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd piśmienniczy, przez W. C. — Nowiny paryżkie.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Co to za straszne rzeczy dzieją się teraz na Bożym świecie! wykrzyknęła przelekniona Griebłowa. Pijani rzemieślnicy włóczą się po okolicy i kładą się tak spać na publicznej drodze! Trzeba się mieć na baczności, aby którego nie rozjechać na śmierć. O! tego dawniej nie bywało! A choć pan sam jesteś fabrykantem, pomimo tego powiem głośno, że głównym powodem złego są ustawiczne wojny i... fabryki. Są źle urządzone, jak wszyscy to wiedzą i temu to zawdzięczamy te tłumy włóczęgów, które wciskają się i do nas, uczciwych wieśniaków. O! chciałabym — z przeproszeniem pańskim — aby wszystkie maszyny i wszystkie fabryki zapadły się w ziemię. Wieś stworzył Pan Bóg, a miasta, fabryki...

Przez grzeczność nie dopowiedziała że stwórcą ich był dyabeł, sam najstarszy szatan; tymczasem zbliżyli się do leżącego na drodze i Henryk pochylił się, spojrzawszy w bladą twarz leżącego młodzieńca, który z widoczną trudnością podniósł znużone powieki, aby rzucić nieśmiało i zawstyżone spojrzenie na mówiących.

— Ależ to nie jest człowiek pijany! — rzekł półgłosem, ujmując z pośpiechem rękę leżącego, aby wy badać puls.

— Ach! na miłość Boską to prawda! Ja rozprawiam o młodych kartofelkach, a tu biedny człowiek jakiś umiera, może z głodu! Na świecie dziwnie są rozdzielone dary Boże, jeden ma za wiele, a drugi znów za mało. Ja to zawsze powiadam, ale szkoda słów moich — są one jak groch na ścianę.

Włożyła rękę do kieszeni i wyjąwszy z niej bułkę, przysunęła ją do ust nieznanego. — Słuchaj, dobry człowieku, spałaszuj mi zaraz tę bułkę, to ci tak pomoże, jak gdybym dodała świeżej oliwy do gasnącej lampy.

Lekki rumieniec ukazał się na wychudzonej twarzy biedaka, tak jak przed chwilą przy słowach: umiera z głodu; podniósł z wysiłkiem rękę, czyniąc nią wzbraniające się poruszenie.

— Ej, nie wzdragaj się no waspan! — łajala z gniewem wzruszona jejmość — O sto kroków bym poznała, żeś głodny, choć widzę chciał byś w mówić w ludzi, że jadłeś bażanty na obiad. Zabierz się do tej bułki: to cię wzmocni o tyle, że cię będziemy mogli zaprowadzić do domu. Mam tam jeszcze wyborny i posilny rosół z obiadu, a znajdzie się również i wygodne łóżko na nocleg dla tych, co innego mieć nie mogą.

— Spróbuj bracie zjeść choć trochę — odezwał się Henryk głosem szczerzej, życzliwej prośby. Nieznajomy młodzian przyjął wreszcie bułkę i po pierwszym ugryzionym kawałku, nie zdołał powstrzymać się dłużej: jadł z nieopisaną chciwością i zdawało się, jakoby zapomniał o wszystkim dookoła siebie.

Był to nietyle młodzieniec, jak raczej młody, a bardzo piękny mężczyzna z długą, jasno blond brodą, spadającą mu na piersi. Suknie jego były już wytarte, ale znać było, że pamiętały lepsze czasy, a ich właściciel widocznie dbał bardzo

o ubiór. Na nowy, biały jak śnieg papierowy kołnierzyk na szyi, wydał zapewne ostatni grosz.

— Och, jakże to bolesny widok dla biednych kobiet! — odezwała się ze szczerem i rzeczywiście uczciwem wzruszeniem Griebłowa, wskazując wzrokiem na jedzącego. — Nie jedna matka rozpieszca i psuje swoje dziecię, żadne posłanie nie jest dość miękkie dla kochanego syneczka, żadne jedzenie nie dość posilne, a często później...

Nagle zamilkła mimowoli, gdyż nieznanomy z szybkością, na jaką tylko mogły się zdobyć osłabione jego członki, pochwyił kapelusz, leżący na boku pod bukiem, zacisnął go głęboko na czoło, jak by chcąc ukryć twarz przed wzrokiem spoglądających na niego osób.

— No, no młodzieńcze, wcale nie masz powodu do wstydu — odezwała się znów kobieta ze swą zwykłą niemiłosierną wymową. — nie jeden już musiał się płatać między obcymi ludźmi, lub z głodnym żołądkiem leżał w rowie przy gościńcu, a pomimo to, powróciwszy do domu, wyszedł później na porządnego człowieka. To jeszcze nic złego, jeżeli tylko z innych względów jest się nieposzlakowanym człowiekiem. Tak, tak, mój młody panie. A teraz zobaczymy, czy się nam nie uda powstać na nogi i przejść kilkaset kroków.

— Leżałem chory przez sześć tygodni w szpitalu — szepnął nieznanomy zaledwie dosłyszczanym głosem — i idę...

— O tak, to zaraz widać, że byłeś chory — przerwała mu kobieta. — A z kąd i dokąd idziesz, tego niepotrzebujemy wiedzieć. Przenocujesz u nas we dworze; wygodne przespanie się jest ci tak samo potrzebne, jak chleb, a jutro rano zobaczymy, co mamy dalej uczynić? Bądź więc spokojny zupełnie i tylko usiłuj iść.

Pochwyliła go silnie pod ramię, Henryk dopomógł z drugiej strony i po niejakiem wysiłku młodzieniec powstał, lubo był za słaby jeszcze, aby mógł iść bez pomocy. Bezwładny prawie, pozwolił się prowadzić, lecz że miał zupełną świadomość swego, prawdziwie godnego politowania stanu, znać było po cichej rozpacz, widocznie przebijającej mu z twarzy.

Na małej łączce w pobliżu dworu sprzątano siano. Miła woń skoszonej świeżo trawy unosiła się w powietrzu, a dwie dworskie dziewczki zgrabiały pokosy na małe zielone kupki.

Gdy chory przybliżył się, prowadzony przez swych opiekunów, dziewczki przerwały robotę, wpatrując się w nadzodzących z szeroko otworzonymi ustami, a Ludwisia w różowej sukience i białym fartuszką, czekająca na matkę i pstrąga przede dworem, biegła na spotkanie z takim pośpiechem, że długie jasne warkocze tańczyły jej na plecach.

— Och mamó, czy to kto zachorował? — zapytała przestraszonym głosem, a jej piękne, błękitne oczy z pełnem przerażenia współczuciem wpatrywały się w chorego.

A jego twarz zarumieniła się ze wstydu pod tem spojrzeniem i biedny z nadludzkiem wysiłkiem wyprostował się, chcąc pójść sam, lecz niestety, nadaremnie!

Griebłowa zawołała wtedy na jedną z gapiących się dziewczek, aby zajęła jej miejsce przy chorym, sama zaś chciała pobięgnąć naprzód do dworu, aby poczynić przygotowania potrzebne na jego przyjęcie. Dziewka podeszła wprawdzie parę kroków, ale mrużąc odpowiedziała zuchwale, że jeszcze nigdy u żadnych państwa nie kazano jej prowadzić żebraków i pijanych włóczęgów. Jest porządną dziewczyną, córką uczciwych rodziców i nie na to poszła do służby...

Z piersi chorego wydobył się jęk bolesny. Tymczasem poeciwa Ludwisia podbiegła, pragnąc spełnić posługę Samarytanki.

— Daj no pokój, ty wróbelku! — odprawiła ją Griebłowa niby śmiejąc się, a przecież tkliwie zachwyconym wzrokiem spoglądając na lekką i zrę-

czną postać swej jedynaczki. — Wiele byś też mogła, laleczko z piernika; tyle masz siły co kurczę, gdy się z jaja wykluje. Pobiegnij duchem do domu, przystaw rosół z dzisiejszego obiadu do ognia i pościel łóżko w kwaterekowej izbie. Tylko nie zapomnij położyć świeże prześcieradło, i powłóczki. A z tobą, moja kochanko, rozmówię się dziś jeszcze! — zawołała, zwracając się do zuchwałej dziewczki, która tymczasem pochwyliła znów porzucone grabie. — Poszukaj sobie innej służby, gdyż od dziś za cztery tygodnie, nie będzie cię już w Hirschwinkel. Pamiętaj że o tem.

W pół godziny później chory leżał w wygodnym łóżku. Przez duże, jasne okno tak zwanej kwaterekowej izby zaglądały ciekawie gałązki olbrzymiej lipy, wieczorny wietrzyk, powiewający od strony lasu, przynosił tu miły chłód i ożywcza, żywiczną woń drzew; hałaśliwy domowy drób spał już oddawna w kurnikach i tylko na murze, biegnącym w około podwórza siedziała biała kotka i myślała się gorliwie.

Henryk po raz pierwszy wziął sam klucze zawieszane na ścianie w narożnym pokoju i osobiście udał się do piwnicy nieboszczki pani nadleśniczowej, aby przynieść, starego wina, przeznaczonego wyłącznie dla chorych. Obcy zjadł z apetytem rosół, a nawet wypił szklaneczkę madery, lecz ani jedno słówko nie wyszło z jego ust, a im więcej przyjęty posiłek ożywił gasnące jego siły, tem bardziej twarz jego przybierała wyraz smutnego upokorzenia. Wzrok biedaka nieustannie i z niewysłowioną tęsknotą kierował się ku otwartemu oknu, a uważający to Henryk myślał w duszy, że biedak pierwszych sił użył by niezawodnie na to, aby wydobyć się na wolność. Uciekałby wtedy niezawodnie bez jednego wdzięczonego w tył spojrzenia, chcąc jak można najprędzej zatrzeć w litościwych duszach pamięć o sobie i o swej nędzy.

Ale wyczerpana natura odzyskała wkrótce swe prawa; chory zasnął głęboko, a Henryk oddalił się do ulubionego pawiloniku, gdzie Griebłowa kazała nakryć mu do kolacyi. Jadł bardzo mało i z rozdrażnieniem myślał o świeżo upieczonym chlebie, który gajowy z Grafenholz będzie jeść dziś przy wierzeczy. Z jakąż serdeczną tkliwością ci ludzie pamiętali o sobie pomimo swego ubóstwa! Griebłowa mimo smieszności była niewątpliwie dobrą kobietą, poczeiwną duszą i miała najlepsze serce, a jednak smaczny pstrąg i młode kartofelki nie były darmo ofiarowywane dziedzi-cowi: interes grał tu swoją rolę, jak gdzieindziej i wiedział, on że trzeba mu będzie zapłacić za te przysmaczki dróżej niż w restauracyi, gdzie cena każdej potrawy jest wypisana. Ale tamci, o tamci, tamci ludzi z porywu serca myśleli o sobie i oddawali sobie wzajemne przysługi! Na domiar przykrości dwie dziewczki dworskie, usiadły w niezwykły sposób gdzieś niedaleko od altany i rozmawiały na głos, nie ustając ani na chwilę.

— E, dała byś pokój z żalami... Czy myślisz, że dbam o służbę u Griebłów? mówiła jedna, widocznie ta, która tak zuchwale stawiała opór woli swej pani. — Kto ma ręce nie od parady, temu nie trudno znaleźć miejsce.

— Ale nie o tym czasie — odparła druga. — Chyba u takich państwa, jak ci na folwarku, co za kiepskie jadło każą pracować od świtu do nocy.

— E, nie gadaj, nie gadaj! Tej tam na folwarku, wcale nie tak źle. Gajowy z Grafenholz pomaga jej we wszystkim i nie spracuje się za nadto. A i z zasługami nie musi być tak bardzo źle, jak ludzie mówią. Ma ona zawsze na nogach trzewiki i jeszcze z jakiej skóry!... Widziałam to, chociaż ucieka przed ludźmi, jak by się obawiała, że ją kto zje. Nie zadaje się z nikim, ani z żadną dziewczką, ani z żadnym parobkiem.

— O! dumna to jest mieszczyka i dla tego nos tak zadziera. A dopiero to zacnie się pysznić, gdy zostanie gospodynią w Grafenholz. Ta ma dopie-

ro szczęście. Przybyła Bóg wie z kąd i złapała zaraz co najlepszego.

— Niechaj tam sobie to ma! Teraz nie mnie już nie obchodzi, gdy mam iść ztąd precz! — zawołała z rozdrażnieniem odprawiona ze służby dziewczka. — I to dla pierwszego lepszego żebraka! Stara dla pochlebstwa dziedzicowi to zrobiła... Dali mu najlepszego wina z piwnicy. Nas to łają jak psów, jeżeli która przypadkiem zapomni na noc zamknąć drzwi, krzyczą w niebogłosey że ich przez nas okradną, a sami zapraszają do domu włóczęgów i złodziei. Naśmiała bym się z całego serca, gdyby ten cacany panicz czmychnął jutro w świat z dobrze wyładowanymi kieszeniami. Wcale bym ich nie żałowała i dała bym za takiego figla dzie sięć talarów z własnej kieszeni.

Henryk zatrzasnął z gniewem okno w altanie, a spłoszone dziewczki, zerwały się z trawnika i z pośpiechem pobiegły do pobliskich oficyn.

Był to cichy, ustronny zakątek wśród lasów, oddalony od miast i dróg uczęszczanych, a przecież i nad tem miejscem anioł pokoju nie roztoczył swych słodkich skrzydeł. Nie pozwoliła na to zazdrość, złośliwość i inne szatańskie wzruszenia ludzkiego serca, tak bardzo czynne na wielkim teatrze świata.

Nazajutrz rano zbudziła młodego dziedzica głośna wrzawa przede dworem. Wyjrawszy przez okno, ujrzał piękną Ludwisię, błądzącą po skoszonych wczoraj łączce. Miała na sobie jasną poranną sukienkę, a bujne blond włosy, ukryte w białej siatce z błękitnymi kokardami.

Młode dziewczę widocznie szukało jakiegoś zgubionego przedmiotu. Rozrzuciła rączkami kupki siana, uważnie przepatrując każdą garstkę. Obie zaś dziewczki, wybierające się zapewne na rolę, gdyż trzymały w rękach motyki, stały obok i śmiały się wesoło.

— Tylko że panienska przeszła tędy i z pewnością nie tu nie zgubiła — odezwała się odprawiona wczoraj dziewczka. — Szkoda czasu na nadaremne szukanie. Nie jesteśmy tak ślepe, abyśmy miały zagrabić w siano taki duży dukat z uszkiem. Złoto błyszczy, a czarnej axamitnej tasiemki, długiej na łokieć, nikt przecież nie weźmie za siano. A zresztą słyszałam na własne uszy, jak z początku panienska powiadała mamie, że jak zwykle włożyła wczoraj dukat do szklanego pudełka na komodzie. Ale cóż, państwo nie chcą wierzyć, choć wszyscy ludzie w całym dworzą mówią jedno, że nikt inny nie mógł ukraść dukata, jak tylko ten włóczęga.

— Wstydz się Róziu, to bardzo brzydko z twojej strony! — zawołała Ludwisia prawie z uniesieniem. Głosik jej młody tłumił się płaczem. Człowiek z tak szlachetnym wyrazem twarzy nie może kraść; zresztą nie godzi się nikogo posadzać o tak szkaradną rzecz.

— Tak? A dla czego wyniósł się z domu na francuzki sposób? Piękna rzecz wynknąć się przed świtem, nawet nie powiedziawszy ludziom: Bóg zapłać! No, zresztą mniejsza o to. Co mnie to może obchodzić? Wszystko mi jedno, kto wziął dukata panienki. Ja go nie mam.

Powiedziawszy to, zarzuciła motykę na ramiona i poszła w swoją stronę, podczas gdy Ludwisia widocznie mocno zmartwiona, powróciła powoli do domu.

— Patrz pan, jaką to nagrodę odbierają ludzie za swoje dobre serce — odezwała się Griebłowa, gdy młody dziedzic, schodząc na dół, zaszedł do kuchni, aby zyczyć jej dnia dobrego. Obu rękoma, zakasane po łokieć, mieszała ciasto w niecce i nie zdawała się być wcale w różowem usposobieniu. — Piotr wysmiewa mnie, że się gniewam i pyta, czy liczyłam na pocałowanie rączek gościa, któregośmy sprowadzili wczoraj oboje. Ale może pan nie wiesz, że ten człowiek wyniósł się z domu ukradkiem. Musiał jeszcze przed świtem wyjść przez okno i wymknął się przez tylne podwórko. Nie jest to pięknie z jego strony bo i rodzona matka nie mogła by przyjąć go serdeczniej. Tu znowu Ludwisia spletała mi figla, zgubiwszy dukata z uszkiem, który otrzymała w podarunku od nieboszczki pani nadleśniczowej.

Ale to nie wszystko jeszcze: cała czeladź śmieje się ze mnie i rozpowiada głośno, żeśmy sami sprowadzili sobie złodzieja do domu.

— Jaka szkoda, żeśmy przyczyny tego wszystkiego nieszczęścia nie zostawili na drodze! Nie mielibyśmy niepotrzebnych kłopotów — zauważył Henryk sarkastycznie.

— A co też pan mówisz! Niech że mnie Bóg zachowa od takiej zatwardziałości! — zawołała kobieta, unosząc się. — Gdyby jutro zdarzyło się coś podobnego, postąpiła bym kubek w kubek tak samo. Widzę, że pan nie znasz jeszcze Griebłowej. Gniewam się tylko dla tego, że ten człowiek samochcąc uchodzić tu będzie u ludzi za złodzieja — gdyż przysięgła bym, że jest on dzieckiem poceiwych rodziców. Poznał by to od razu i ślepy, a przytem tak się wstydził swojej biedy... Żal mi go, że się dał na ludzkie języki. Ale patrz no pan tylko na moją małą! — Mówiąc to, wskazała mu głową przez ramię na Ludwisię, która stojąc zapłakana przy stole kuchennym, wyluskiwała migdały. — Dzisiaj nie będą jej smakować nawet parzone ciastka. Ale strata dukata z uszkiem nie jest jedyną przyczyną, że się dziecko biedne spłakało. Serce ma miększe od masła i tak żałuje słabego, wygodzonego biedaka, którego teraz posadżają jeszcze o kradzież.

Dziedzic uśmiechnął się spojrzawszy z przyjemnością na ładne dziewczę, którego jasna główka pochylała się po nad stołem, aby ukryć nowe łzy. W innej chwili, a szczególnie dawniej, Ludwisia byłaby więcej go interessowała ale teraz stał się jakos dziwnie obojętny na wszystkie wdzięki kobiece. A przecież dziś ubrał się starannie, niż kiedy, ubrał się jak na wizytę, choć powtarzał sobie od chwili przebudzenia, że spełnia tylko obowiązek. Chodziło tu o bytność na folwarku, której nagle postanowił już nie odkładać. Szedł wzdłuż sosnowych zarośli, po za którymi znajdował się folwark. Z lewej strony falowała piękne, gęste żyto, kłaniając się przechodniowi kłosami, sięgającami mu aż do głowy. Kartofle gęste były jak zagajnik i zaczynały już kwitnąć; po nad złocistym rzepakiem unosiło się tajemnicze brzęczenie, a ciężko obciążone słodką zdobyczą pszczołki, przelatywały wesoło, spiesząc do swych ulów po za dworskim ogrodem. Hirschwinkel zdawał się w tej chwili być ową błogosławioną ziemią obiecaną, w której rzeki płyną mlekiem i miodem, a przecież udało się biedzie zakraść i tutaj.

Zaraz po za zaroślami zaczynały się grunta, należące do folwarku. Och, jakże odmienny widok! Zboże rzadkie, kłosa małe i chude, perz i inne zielska zagłuszały wszystko do koła. Brak inwentarza odbił się na wyjałowionej, wysssanej roli, nie mogła dokazać sama praca, gdyby nawet gajowy z Grafenholz i pomagająca mu dziewczyna mogli robić cuda. Jeżeli spadek po zmarłej nadleśniczowej miał odpowiedzieć swemu celowi, w takim razie trzeba było przedewszystkiem podnieść sumę, zabezpieczoną na hipotece oberży w Tillroda i użyć ją na podźwignięcie upadłego stanu folwarku. Czy tylko zechce zgodzić się na to panna guwernantka? Czy nie będzie wolała odkupić sobie jedwabnych sukien i koronek, które teraz sprzedawała i w ogóle na otoczenie się znów zbytkiem, do którego przyzwyczaiła się w Frankfurcie w domu generała von Guseck? Sądząc z tego, co wiedział, musiała to być ta sama natura co stryjaszka. Siedziała sobie używając willegiatury i sprzedawała suknie.

No, za chwilę ujrzy ją własnymi oczyma, a postanowił sobie, że będzie patrzył uważnie i nie pozwoli wyłudzić sobie ani jednego grosza na arystokratyczne zachcianki, chociaż by była piękna jak bogini, a zręczna jak guwernantka. O, był on aż nadto zabezpieczony od uroku tego rodzaju osób, od ich kłamanej ofiarności, po za którą — jak to z doświadczenia wiedział — kryła się nie hamowana, niezem nie dająca się odstrążyć chęć zrobienia karyery.

Budynki folwarku znajdowały się pod samym sosnowym lasem, były bardzo skromne i proste, a przytem stare i zniszczone, z południowej strony rozciągał się ogród, otoczony sztachetami, małe

drzewiczki prowadziły ztamtąd wprost do lasu. Nie były one zamknięte, Henryk wszedł więc tędy i udał się jedyną wąską ścieżynką, prowadzącą przez bujne trawniki, posiane mnóstwem różnobarwnych kwiatów: Kilka wysokich gruszy i jarząbków rzucały na niego cień ochładzający. Przechodził także obok cienistej altanki, umieszczonej pod sklepieniem lip, w której znajdował się kamienny stół i parę prostych drewnianych ławek. Było to rzeczą wielce niedelikatną i niezem nie dającą się usprawiedliwić, że nowy dziedzic przystąpił bez ceremonii do cudzego stołu, na którym leżące nożycki, naporstek i kilka kawałków płótna przekonywały dowodnie, że w ustroju tem pracowała jakaś kobieca istota. Ale były tam także pióra i kałamarz, a tuż obok nich leżał otwarty gruby zeszyt. Zapewnie w tym zielonym zakątku guwernantka dosiadała pegaza, pisując rozdzierające serca wiersze do gwiazd i księżycy. Dusza jej zostawiła tu swój cień, który owiał niedyskretne, zanim jeszcze poznał samo bóstwo tej świątyni. Po chwili świętokradca uśmiechał się, trochę jednak zbity z terminu, bo nie było to wcale poezją, co jego podstępny wzrok pochwyił ukradkowo: „Dwie pary gołębi, sprzedane w Tillroda... to samo tuzin jaj...“ i t. d. i t. d. No, jeżeli ujrzy dziś guwernantkę z paluszkami powalanami atramentem, przyczyną tej zbrodni będą jedynie rachunki gospodarcze.

Poszedł zatem dalej; skończyły się trawniki i wkrótce murawa ustąpiła miejsca zagonkom warzywnym, za którymi zaraz ciągnął się żywopłot, albo raczej malinowe krzaki, oddzielające ogród od podwórza. Tamte dy to właśnie miały przechodzić szyny kolei.

Kilka kur gdała nieustannie, zaszczekał kundel, skrzypnęły drzewiczki w żywopłocie i coś białego mignęło przez zarośla.

Henryk mimowolnie naciągnął lepiej rękawiczki i przyspieszył kroku, aby spotkać damę w białej sukni, lecz była to tylko służąca, której ukazanie się gniewało go zawsze tak bardzo, że aż krew uderzała mu do głowy. Na prostym a zawsze jednym i tym samym kabacie miała zawiązany szeroki fartuch kuchenny, długie rękawy wysoko odwinęte, na głowie żadnej osłony.

On przystanął milezący i nieruchomy, a ona wcale go nie dostrzegła. Poszła wprost do grządek warzywa i schyliwszy się, urwała całą garść kuchennych roślin. Dopiero podnosząc się, zwróciła głowę ku niemu i ujrzała stojącego o parę kroków przed sobą. Zapłonęła szkarłatnym rumieńcem i pierwszym, mimowolnym ruchem opuściła długie rękawy na obnażone, śnieżnej białości ramiona.

Coś instynktowego, prawie nieprzepartego nagliło młodzieńca, aby przed tą wyniosłą, wysmukłą jak topolka postacią zdjął uprzejmie kapelusz, jak to właśnie zamierzał uczynić przed mniemaną damą w białej sukni. Jednak uraza, jaką miał do tej dziewczyny, powstrzymała go od popełnienia podobnie beztaktownej niedorzeczności. Nie chciał psuć tej zarozumiałej jejmościanki, ani wzmacniać jej w śmiesznym mniemaniu, jakoby przybierane przez nią tony miały mu choć cokolwiek imponować. Skinął więc tylko lekko głową i chłodnym, obojętnym głosem zapytał ją o jej pana. Przytem spojrzął w jej twarz, w jej czarne, piękne oczy, które widocznie przerażone, z nietajonym niepokojem wpatrzyły się w niego. Zapewnie pomyślała, że nadeszła złowroga chwila, w której niewypłacalny dzierzawca miał zostać wyrzucony w świat na chleb żebraczy.

Cichym, pełnym pokory głosem, jak przystało na służącą, zawiadomiła gościa, że pan jest w domu i będzie sobie uważał za zaszczyt przyjąć nowego dziedzica.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego I. M.

(Dalszy ciąg).

— Ale nie myślmy o tem—mówił dalej Fitz Gerald ocierając łzę.—Teraz trzeba pamiętać jedynie o tem, ażeby umrzeć z godnością! Wzmocniłeś już me ciało, drogi przyjacielu, daj mi jeszcze tę książkę, abym z kolei wzmocnił duszę. Jest to ewangelia, pragnął bym przeczytać ze Ś-go Jana rozdział o męce Pańskiej.

Doktor przyniósł żadaną książkę i roztworzył ją we wskazanem miejscu.

— To bardzo dobra myśl — mówił, podając ją choremu. — Jest to wyborny balsam, prawdziwie boski kordyale. Przygotuje cię on lepiej do ciężkiej próby, którą masz odbyć, niż wszystkie wzmacniające środki nauki lekarskiej. Czytaj głośno, przyjacielu! Słucham.

I usiadłszy tuż przy łóżku, uważnie badał Fitz-Geralda.

Z wyteżenia wzroku doktora, można było przypuszczać, że magnetyzował chorego.

Edward zaczął czytać głosem pewnym, który przecież słabnął wyraźnie. Gdy doszedł do miejsca:

— Ojcie mój, jeżeli to być może, oddal odemnie ten kielich, jednak niech się stanie twoja, a nie moja wola... przerwał na chwilę, a gdy chciał zacząć na nowo, ledwie nie zabrakło mu sił. Widocznie walczył z ociężałością, ovladającą nim coraz silniej.

Ku końcowi czytania, zaczęły wstrząsać nim dreszcze, połączone z coraz większem odrętwieniem. Twarz zmieniła się, głos, spojrzenie stały się zupełnie innemi.

Lecz siła woli zwyciężała jeszcze. Czytał aż do samego końca:

— Przepowiedziano, że zmartwych wstanę w trzy dni po mej śmierci. Rozkażę więc strzedz grobu mego z obawy, aby uczniowie moi nie wykradli ciała i nie powiedzieli ludowi: oto zmartwych powstał!

Przy tych słowach Fitz-Gerald uniósł trochę głowę, oczy otworzyły mu się niezmiernie szeroko, chciał mówić, lecz wargi szeptały tylko jakieś niewyraźne dźwięki. Książka wypadła z rąk, usiłujących jeszcze pochwytać ją. Wyczerpany do reszty tym wysiłkiem, opadł na poduszki, najzupełniej uspiiony.

Slowius Jumble, który z gorączkowym niepokojem obserwował wszystkie fazy działania narkotyku, odniósł też świętą księgę na dawne miejsce i przeżegnawszy się, rzekł:

— Boże! przybądź nam teraz na pomoc!

W chwilę później ujął rękę Edwarda.

Puls przestał uderzać — ustał najzupełniej.

Serce również nie biło — przynajmniej tak się wydawało.

Na twarzy rozpostarła się bladłość trupa, ciało stało się sztywne.

Doktor czekał jeszcze przez kilka minut. Następnie poszedł ku drzwiom, wychodzącym na korytarz i zapukał.

W zakratowanym okienku ukazała się twarz strażnika.

— Zawiadom komendanta—rzekł Slowius Jumble — że Edward Fitz-Gerald umarł.

W chwili, gdy księżna Leinster miała się udać do Newgate, oznajmiono jej przybycie wicekróla.

Uważał on za obowiązek, zawiadomić osobiście matkę Fitz-Geralda o śmierci syna. Ze strony takiego człowieka była to wysoka oznaka przyjaźni i szacunku.

Lubo uprzedzona zawczasu, lubo wiedziała, że śmierć ta jest tylko letargiem, księżna jednak uczuła żywe wzruszenie. Religijne uczucie, przytem niebezpieczeństwo, które przewidywała jeszcze, oszczędziły jej udawania, niegodnego jej charakteru. Uczuła głęboką i prawdziwą boleść, ciężki, szarpający sercem żal.

Uczyniła co jej kazał Tankred: zażądała ciała synowskiego.

— Nie mogę odmówić ci, księżno, tej smutnej pociechy — odpowiedział wicekról po chwilowym namysle — lecz pani sama powinnaś unikać zbiegowiska i wzburzenia namiętności ludowych. Nie rozgłaszajmy więc wiadomości o śmierci i zaczekajmy do nocy. O dziesiątej godzinie zwłoki tego, którego nie mogliśmy ocalić, zostaną wyprowadzone wprost z Newgate do Kildare. Reginald będzie je eskortować ze swemi dragonami. Czekaj, księżno, na drodze — czekaj w powozie. Syn mój ma zaszczyt być również twoim synem, spełni więc tylko swój obowiązek, opiekując się panią w podróży. Obawiamy się, aby wzburzenie, które wstrząsnęło Dublinem, nie rozszerzyło się i do prowincyi.

— Lecz — zauważyła księżna — któż odda ostatnią posługę ciału? Kto je włoży do trumny?

Wicekról starał się uspokoić nieszczęśliwą, której różnorodne wzruszenia malowały się na twarzy.

— Wydam stosowne rozkazy—rzekł. — Jeden z przyjaciół rodziny może być obecnym przy ich spełnieniu. Zechciej więc pani wybrać osobę, abym mógł wydać na jej imię pozwolenie. Perkins zostanie uprzedzony.

Naturalnie księżna bez namysłu wskazała wicehrabiego Gaillefontaine.

— Bardzo dobrze! Znam go—rzekł lord Cornwallis. — Jest to szlachetny człowiek, a przytem, jako cudoziemiec, ma nad innymi tę wyższość, że nie należy do żadnego stronnictwa, które na nieszczęście rozdziela nas tu w Irlandyi.

Natychmiast po odejściu wicekróla, księżna posłała po Tankreda.

Uwiadomiono go o układzie. Łucya obawiała się, aby eskorta wojskowa, choć dowodzona przez Reginalda, nie stała się przeszkodą, a przynajmniej znacznem utrudnieniem tego, co przedsiębrano.

— O nie, nie! — rzekł żywo wicehrabia. — Dragoni nie sprawią nam żadnego kłopotu. Lecz cie panie na mnie!

I nie mając czasu do dalszych wyjaśnień, udał się do Newgate.

Perkins czekał już na niego i osobiście poprowadził do pokoju zmarłego. Zastali tam Slowiusa Jumble.

Doktor podniósł śmiertelny całun, pokrywający Fitz-Geralda.

Zdawało się rzeczą nie prawdopodobną, aby w tej lampie wygasłej, znajdować się miała jeszcze iskierka, mogąca na nowo zaświecić.

— Zaraz rozkażę przynieść trumnę — rzekł Perkins, oddalając się.

Tankred i Slowius Jumble pozostali sami w pokoju.

Nawzajem opowiedzieli sobie cały przebieg rzeczy: jeden w więzieniu, drugi na zewnątrz.

Gaillefontaine chciał jeszcze raz zobaczyć Fitz-Geralda.

Pozory śmierci były tak wyraźne, że wicehrabia drżąc z obawy, zaczął tracić nadzieję.

— Uspokój się pan — rzekł doktor. — Edward

śpi i jutro rano przebudzi się. Przejdźmy do mego pokoju. Dam panu przeciw-narkotyki i szczegółowe instrukcje dla doktora w Kildare... Jest to mój dobry przyjaciel i ręczę za niego jak za samego siebie...

— Dobrze — rzekł Tankred — ktoś z domowników niby zasłabnie, jedna z kobiet, lub które z dzieci, to nie obudzi podejrzenia.

— Przez kilka dni — dokończył Slowius—trzeba bardzo troskliwie czuwać nad Edwardem. Rekonwalescencya potrwa długo i zaledwie po kilku tygodniach odzyska dość sił, aby mógł opuścić Irlandyę.

— Tem lepiej! — zapewnił wicehrabia — nie będzie opuszczał mieszkania, a przytem zyskamy dość czasu na obmyślenie i przygotowanie ucieczki.

Na korytarzu dał się słyszeć odgłos kroków. Przyniesiono trumnę.

Była ona z dębowego drzewa, zczerniałego jak heban i zamykała się z góry na dwa wieczka osadzone na brązowych, złożonych zawiasach.

W pośrodku owych wieczek znajdował się ozdobny zamek, kształtu daszka, jak u starożytnych szkatulek byzantyjskich.

Dwaj strażnicy wniósłszy ją ustawili na krzesłach obok łóżka. Perkins wyjął z kieszeni klucz i otworzywszy nim trumnę, ukazał wicehrabiemu, że całe jej wnętrze wybite było czarnym atlasem.

— Lord Cornwallis pragnął — odezwał się do niego — aby uczyniono wszystko, co przystało wysokiemu stanowisku lorda Fitz-Geralda. Stosownie do otrzymanego rozkazu, klucz od trumny złożę w ręce pana wicehrabiego.

Strażnicy na znak komendanta zbliżyli się do zwłok zmarłego.

Doktor Jumble zastąpił im drogę.

— Pragnęlibyśmy — rzekł, zwracając się do Perkinsa — własnymi rękami złożyć naszego przyjaciela do trumny i to w ostatniej dopiero chwili, gdyż potrzeba mi jeszcze przygotować pewne środki aromatyczne, służące do zachowania ciała, aż do chwili zabalsamowania go w Kildare.

— Jak panowie chcecie — odrzekł Perkins. — Oto klucz!

I oddalił się wraz z obu strażnikami.

Gdy już ciężkie drzwi zamknęły się za nimi, Slowius szepnął po cichu.

— Pojmujesz wicehrabio, że nieszczęśliwy uduślił by się w trumnie. Konieczne potrzebne są otwory dla odświeżania powietrza. Lecz mam wszystko w pogotowiu, poczekaj pan.

Wyjął z pudła, zawierającego narzędzia chirurgiczne, pewien rodzaj świderka i pod ozdobami w koło zamku i bogatych antab, wywiercił kilka dość dużych dziur, których przecież nie można było widzieć z wierzchu.

— Będę potrzebować pana dopiero wieczorem, odezwał się następnie do Gaillefontaine'a. — Idźże więc wicehrabio i przygotuj się tymczasem do podróży. Do widzenia!

Tankred kazał sobie otworzyć drzwi i oddaliwszy się z Newgate, poszedł złożyć sprawozdanie księżnie.

Zastał w salonie Łucyą siedzącą obok matki.

Gdy wszedł, podniosła na niego oczy pełne niewysłowionej wdzięczności. — Niech to pan Bóg wynagrodził rzekła i podała mu rękę, na której wrzuszony położył pocałunek pełen szacunku.

— Nie opuszczaj nas pan, bądź z nami jak możesz najdłużej — szepnęła księżna. — Pan jesteś nadzieją naszą i podtrzymujesz nas na siłach...

Zapłakała i Tankred przykleknął przed nieszczęśliwą matką. — O pani—odpowiedział wrzuszony — chciałbym być tu, obok ciebie zawsze, ale nie mogę...

Tak, było to prawdą, chciałby był pozostać obok jej córki na zawsze, na zawsze... ale nie mógł...

Oddalił się, aby poczynie przygotowania do podróży. Postanowił zabrać ze sobą Pata. Miał najzupełniejsze do niego zaufanie, a zręczny, wierny chłopiec mógł mu się przydać w drodze.

— Dziś wieczorem wyjadę na kilka dni, a i ty będziesz mi towarzyszył — rzekł do niego, po-

wróciwszy do domu. — Pamiętaj więc, aby na dziewiątą były osiodłane oba nasze konie.

— Dobrze! — zawołał Pat. — Pojechałbym z panem aż na koniec świata, a tem więcej dziś, gdy tak gorąco pragnę oddalić się stąd. Tak mi tu duszno w mieście, ach! tak tu ciężko... Kiedy będą wykonywać wyroki?

— Nie wiem — odpowiedział Gaillefontaine. Wspomnienie na dwóch braci poetów ścisnęło mu serce. Ich nie nie mogło ocalić...

— Spotkałem dziś barona Hampach z bandażem przez głowę — rzekł Pat. Patrzy tylko jednym okiem ale tak, że mnie bierze niezmierną chęć wybić mu drugie, tej bestyi dzikiej... Wszystko to bestye dzikie, nie wiem czybym nie zrobił jakiego głupstwa zostając tu, a pan wiesz, że nie powinien, że mam obowiązki i najbezpieczniejszą rzeczą jest oddalenie się stąd. Czy daleko pojedziemy?

— Zobaczysz z czasem. Powiem ci to, gdy będzie potrzeba.

Po wydaniu stosownych rozkazów, Tankred udał się na pokład amerykańskiego okrętu, stojącego w przystani.

Rozmawiał z kapitanem długo i sam na sam, a przed odejściem dał mu znaczną sumę, jako zadatek.

O dziewiątej godzinie wszedł do pokoju Fitz-Geralda.

Stan letargiczny nie zmienił się wcale.

— Już jest czas włożyć go do trumny — rzekł Slowius.

Edward był na wpół ubrany. Okryli go obszernym pledem szkockim i ostrożnie włożyli do trumny.

Doktor na złotem, bladym czole przyjaciela złożył tkliwy pocałunek pożegnania.

— Dotknij pan jego ręki — rzekł do Gaillefontaine'a.

Ręka była zimną jak marmur.

— A przecież jeszcze raz zapewniam pana — oświadczył — że to tylko sen. Lecz sen na mój sposób — nie zabija on, a jak teraz ocali!

— Oby Bóg wysłuchał cię doktorze! — dodał wicehrabia, zamykając trumnę. — Do jutra, przyjacielu!

Ostatnie te słowa Gaillefontaine zwrócił do Fitz-Geralda.

Milczącym, pełnym serdeczności uściskiem dłoni pożegnał pocziwego Slowiusa Jumble.

Czyli kiedy obaczą się jeszcze w tem życiu?

— Za godzinę wywiozą cię! — odezwał się jakiś głos za drzwiami.

Wicehrabia pochylił się nad brązowym zamkiem, zakręcił klucz na dwa spusty i schował go do kieszeni. Poczem kazał otworzyć sobie drzwi i pobiegł do pałacu Leinster.

Pat przed przysionkiem oczekiwał z dwoma osiodłanymi końmi, na podwórzu stała już zaprzężona duża karetka podróżna.

Księżna wsiadła do niej wraz z córką, synową i dziećmi. Kornelia była także z niemi. Tony wdrapał się na kozioł i gdy otworzono bramę, karetka wytoczyła się na ulicę.

Noc była nadzwyczaj ciemna.

O kilkaset kroków za ostatnimi domami przedmieścia, w miejscu z kądem rozchodziły się drogi w różne strony, karetka zatrzymała się.

Gaillefontaine stał na koniu przy drzwiczkach. Podróżne zaledwie ośmieliły się oddychać z niepokoju, dzieci spały i tak czekano.

Na odległym wieżowym zegarze wybiła dziesiąta godzina.

Kilka minut upłynęło w najzupełniejszej ciszy. Nic nie zakłócało głębokiego spokoju nocy, cała okolica zdawała się wymarła.

Nareszcie w znacznym oddaleniu rozległ się po bruku tentent znacznego oddziału konnicy, zbliżającej się szybkim kłusem.

Przednia straż przesunęła się w ciemności, niby widmo.

Tuż za nią postępował pociąg artyleryjski.

Na nim zapewne znajdowała się trumna z ciałem umarłego.

— All right! — zawołał wicehrabia do murzyna.

Karetka ruszyła tuż za wozem artyleryjskim.

W tyle uszykował się szwadron konnicy i jechał zamykając pochód żałobny. Tankred i jego wierny sługa kłusowali obok karety.

— Musha! — mruknął Pat po cichu. — Otóż zostaliśmy zaciągnięci do królewskich dragonów! Przynajmniej gdybym się mógł dowiedzieć, co się tam znajduje na tym ich wozie przed nami, który — jak się zdaje — eskortujemy.

— Ciało lorda Edwarda Fitz-Geralda — odparł jego pan.

— A więc już go zabili? jęknął chłopak...

— Cicho! — przerwał mu Tankred surowo. — Daję ci wielki dowód zaufania, biorąc cię z sobą. Pamiętaj więc, cokolwiek bądź zobaczysz, lub usłyszysz, nie dziw się niczemu, nie pytaj o nic.. A teraz milcz, nie mówmy nic.

Przejechano w milczeniu kilka wiosek, w których panowała taka cisza, jak by cała ludność wymarła.

Za to, gdy zbliżali się do miasteczka Naas, ujrzeli już zdaleka rozłożone w kilku miejscach wielkie ogniska.

Oświecały one obozowisko licznego oddziału wojska; karabiny ustawione w kozły, żołnierzy jedzących i pijących, wielu z nich podchmielonych już zupełnie.

Nieco dalej stały gromady powiązanych wieśniaków.

Po za niemi jeszcze czarne sylwetki kilku powieszonych.

— Oh... — szepnął Pat. — Już tu pohulali sobie!

Zapewnie straż przednia musiała się zatrzymać, gdyż karetka i wóz stanęły.

Pat wywniósł się z orszaku i zbliżył się do dwóch żalobnie płaczących kobiet, a powróciwszy następnie na dawne miejsce, opowiedział pociechu swemu panu, że miasteczko porwało się do broni i biło się przez kilka godzin, lecz Anglicy zostali panami placu i gospodarowali teraz po swojemu.

Tymczasem dragoni puścili się w dalszy pochód.

Przy wyjeździe z miasteczka, zdawało się, że ciemność jeszcze się powiększyła. Zaczął padać drobny, gęsty deszczyk; w pośród mgły zaledwie dostrzedz było można drzewa, stojące po nad drogą.

Dragon wysokiej postawy przybliżył się do Gaillefontaine'a i jadąc tuż obok niego, zachowywał z początku milczenie.

Pomimo kasku na głowie i obszernego płaszcza, otaczającego większą część twarzy, wicehrabia poznał Reginalda.

— Dusza moja pełna jest rozpacz — przemówił wreszcie ponurym głosem. — Znasz pan zobowiązanie, które przyjąłem w chwili ślubu mego z Łucyą i już też nigdy, nigdy nie ośmielę się stanąć przed jej obliczem. Musi mnie teraz nie nawidzieć, pogardzać mną.

— Nie — przerwał wicehrabia — gdyż możesz jeszcze dotrzymać obietnicy i zasłużyć na jej wdzięczność.

— Panie wicehrabio — zawołał małżonek Łucyi z goryczą — czyś zapomniał, że odwożę jej trupa... To mój jedyny dar ślubny dla ukochanej.

— Kto to wie, co może być jeszcze — odparł Tankred. Żałował bardzo biedaka i to uczucie kazało mu powiedzieć cośkolwiek na pociechę.

— Co pan mówisz?

— Nic — odparł z pośpiechem Gaillefontaine wzruszony — wyjaśnię ci to, półkowniku w Kildare. Natychmiast po złożeniu trumny w kaplicy,

trzeba oddalić wszystkich i pozostać tylko nam dwóm, wtedy będziemy mówić obszerniej.

Minęli rozległą płaszczynę i wjechali w wązkie parów. Po bokach wznosiły się pagórki i olbrzymie jodły, czarniejsze od samej nocy, a które zaledwie odgadnąć było można po posępnym szumie gałęzi.

Nagle na czele kolumny rozległy się strzały.

— Napad! Zasadzka! — zawołał półkownik. Poczem popędziwszy naprzód, zakomenderował: — Kłusem naprzód. Oczyszczyć drogę!

Rozkaz ten należało wykonać szybko, gdyż inaczey wszystko mogło być straconem. Zciśnięte miejsce, ciemność nocy, i licznie rozlegające się strzały, czyniły groźnem niebezpieczeństwo.

Po chwili Reginald powracał galopem ku tylnej straży, gdzie również odezwały się strzały. Tu znajdował się cały szwadron dragonów.

Napadł był wykonany jednocześnie ze wszystkich stron. Nieprzyjaciel pozostawał niewidzialny. Przejsie było tak wąskie, że jeźdźcy postępować mogli zaledwie po dwóch.

Przytem na drodze musiały się znajdować jakieś zapory, gdyż ani wóz, ani karetka nie mogły ruszyć z miejsca i tamowały cały pochód. W pośród ciemności słychać było potykanie się i szamotanie koni.

Dźwięczny, donośny głos, prawdopodobnie dowódcy powstańców, rozległ się z pośród jodeł, wydając następujący rozkaz.

— Ognia! Ognia w sam środek!

Tankred poznał głos Wodza-Ducha.

— Jakóbie! — zawołał, rzucając się naprzód w kierunku, z kąd głos wychodził. — Jakóbie! Ja tu jestem! To eskorta, prowadząca do Kildare ciało lorda Edwarda Fitz-Geralda!

Strzały ustały, z pomiędzy jodeł wyłoniła się wysoka postać i skierowała się po pochyłości ku miejscu, gdzie stał wicehrabia. Zapytał go, ale z oddalenia zawsze, głos drżący. — Ciało Fitz-Geralda! A więc już wykonano wyrok?

— Nie! — zawołał z pośpiechem Gaillefontaine, który nie mogąc zbliżyć się do mówiącego i zmuszony odpowiadać głośno, musiał zamilczeć prawdę. — Nie! — Umarł w skutek osłabienia i dawniej otrzymanej rany. W imię pozostałej po nim wdowy i matki, zaklinam cię, aby puszczone nas wolno. One są tu, w pośród nas, w karcie, w około której świszczą kule. Są obie i Łucya, Kornelia dwoje dzieci Fitz-Geralda, narażone również na strzały!

Słowa te sprawiły natychmiastowy skutek. Dało się słyszeć ostre, silne, rozkazujące gwizdnięcie, powtórzone kilkakrotnie wzdłuż wzgórz po nad wąwozem. Był to zapewne umówiony znak zaprzestania rozpoczętej walki.

W pośród ciemności nocy zaświeciło jeszcze kilka błysków, po których zaraz rozległy się strzały, poczem nagle ucichło wszystko.

Powstańcy znikli jakby na zaklęcie czarownika.

Reginald kazał zatrąbić do pochodu i nie zaczepiony już więcej orszak opuścił niebezpieczny wąwóz.

Przez chwilę jeszcze wicehrabia pozostał w pośród jodeł, przywołując stłumionym głosem Jakóba, aby mu powierzył tajemnicę. Lecz nikt mu nie odpowiedział — na wzgórzach panowała głęboka cisza. Dziki Ir musiał już oddalić się z rozpaczą w sercu, spowodowaną mylną wiadomością.

Powróciwszy do karety, Tankred odnalazł swego sługę i konia.

(Dalszy ciąg nastąpi)